

258146

Projekt. W. A.

87 dgr

ŻYCIORYSY
WIEJSKICH DZIAŁACZY
WOŁYNIA

W A R S Z A W A 1 9 3 8

~~25116~~

ŻYCIORYSY
WIEJSKICH DZIAŁACZY
WOŁYNIA



38176

~~5634~~
~~BIBLIOTEKA~~
~~Instytutu Ekonomiki Rolnej~~
~~S. G. C. W.~~
~~ul. Warszawa, Medalskiego 79~~
~~318~~

W A R S Z A W A I 9 3 8

M. inv. 2328

Komputer



234608

Cytowanie wyjątków dozwolone z powołaniem się na źródło.



D-78/36

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60, Telefon 8.93-47.

BDW-D-95/352/23

29 IX

41-

SPIS TREŚCI

	Str.
Słowo wstępne	5— 8
Lp. 1. Gospodarz z pow. łuckiego	9—17
Lp. 2. Gospodarz z pow. łuckiego	19—32
Lp. 3. Gospodarz z pow. rówieńskiego	33—50

S Ł O W O W S T Ę P N E .

Różne koleje losu przechodził Wołyń. Były czasy, że wybijał się nawet ponad innedzielnice rozwojem oświaty i dawał Polsce wielkiej miary mężów tak pod względem wiedzy, jak i zdolności działania. Bezstronnie jednak należy stwierdzić, że to były jednostki, a masy ludności wołyńskiej, tak samo prawie jak i w innychdzielnicach Polski, pozostawały ciemne i nędzne prowadziły życie.

Od uwłaszczenia do wojny światowej stosunki te uległy zmianie na lepsze o tyle, że powstało już sporo szkół ludowych, w których ludność mogła czerpać początki wiedzy. Szkolnictwo to jednak było bardzo słabo rozwinięte, szkół było za mało i stosunkowo źle były one postawione. To też nie wpłynęły one wiele na rozwój kulturalny chłopawołyńskiego, tym bardziej, że były to szkoły obce duchem i dążyły raczej do rusyfikowania niż do szerzenia wiedzy. Polski element wieśniaczy był tu szczególnie upośledzony, nie mając żadnych polskich szkół, nie mając prawa kultywowania swych uczuć narodowych, mając bardzo ograniczone prawo nabywania ziemi; tylko kościół był tu miejscem publicznym, w którym można było swobodnie używać językapolskiego.

O wiele większą szkołą, szkołą o bardzo szerokim zasięgu, była wojna światowa. Dotarła ona prawie do wszystkijmęskiej ludności w wieku poborowym. Rzuciła ją w obce okolice, kazała poznawać innych ludzi, inne kraje, a w większości wypadków i wyższą kulturę materialną i duchową. Wojna silnie pobudziła umysły. Wieś dużo zawdzięcza tym, którzy wrócili z wojny i spostrzeżone gdzie indziej ulepszenia u siebie wprowadzili lub przygotowali dla nich grunt.

Już w okresie wojny wiele czynniejszych jednostek zaczęło zakładać szkoły i organizacje oświatowe — rzadziej zawodowe. Jednakże dopiero po wojnie budzi się silny i powszechny ruch oświatowy prze-

de wszystkim. Jakkolwiek obróci się koło historii, to okres po wojnie światowej będzie dla Wołynia okresem historycznym właśnie dlatego, że stanowi on moment zwrotny w rozwoju oświaty, że w tym okresie zostało tu zorganizowane i przeprowadzone powszechne nauczanie. Razem z oświatą szedł wzrost ogólnej kultury duchowej i społecznej, a później i kultury materialnej.

Że ten rozwój dziś zachodzi, wiemy, względnie możemy się dowiedzieć, czy to przez przejrzenie odpowiedniej literatury, czy przez bezpośrednie przyjrzenie się życiu. Postęp wkracza różnymi drogami i przybiera różne formy urzeczywistniania się. W każdym osiedlu, wsi, czy miasteczku prawie zawsze znajdzie się co najmniej jeden człowiek, widzący niedomagania swego i sąsiadów życia, szukający dróg naprawy i, że tak powiem, „poprawiający życie“. Czasem jego działalność nie daje wyników, czasem daje niepożądane, w większości wypadków jednakże daje może małe lecz dobre wyniki. W wielkiej masie tych osiedli, wsi i miasteczek nawet te drobne osiągnięcia dają duży skutek, a trzeba tu zaznaczyć, że często mamy osiągnięcia wielkie, przechodzące siły pojedynczych jednostek. Są to najczęściej osiągnięcia już nie jednostek, lecz grup ludzi świadomie dążących do tych osiągnięć — grup uświadomionych i prowadzonych przez wybitniejsze jednostki.

Mówiąc dziś o postępie na Wołyniu, a w szczególności o postępie na wsi wołyńskiej, możemy śmiało twierdzić, że jest on duży. Przejawia się on chociażby w dużym zmniejszeniu analfabetyzmu, w poprawie obyczajów, w zwiększonym czytelnictwie pism i książek, w ilości bibliotek w bardziej higienicznym życiu, w kulturze rolnej i hodowlanej, w materialnie polepszonym bycie. Idzie on na wieś przez książki i pisma, przez instruktorów, przez koła młodzieży, kółka rolnicze, spółdzielnie i samorząd. Idzie ten postęp nie do wybranych jednostek, lecz do mas.

* * *

Mamy tu życiorysy trzech gospodarzy wołyńskich — małą część wołyńskiego ludu wieśniaczego. Autorzy urodzili się na wsi, wychowali się tam, przesiąkli miejscowymi obyczajami, tradycją i moralnością i na wsi przeżyli swe życie. Każdy z nich stwierdzał przede wszystkim jakieś braki w życiu, potem wytyczał sobie sposoby ich usunięcia, przygotowywał do akcji swych sąsiadów, wreszcie wyko-

nywał swe zamierzenia. Każdy z nich już zostawił po sobie spory dorobek, a należy sądzić, że jeszcze niejednego dokona. Każdy z nich poruszył opinię i myśl sąsiedzką, a przez to przygotował sobie i pomocników i następców.

Może ktoś powiedzieć, że to wszystko, co oni dokonali, to są drobiazgi. Oczywiście, nie są to rzeczy imponujące wielkością; są to raczej sprawy drobne: założenie szkoły, spółdzielni, organizacji zawodowej, przekopanie rowu, poprawienie drogi, wybudowanie lepszego domu i im podobne. Czyż warto o tych rzeczach pisać? — Nie tylko warto, lecz trzeba! Wybudowanie luksusowego pałacu nie mówi nic o kulturze społeczeństwa. A jeśli jednocześnie przy tym pałacu stoją nędzne lepianki, zamieszkałe przez biedną ludność, to raczej ów pałac będzie świadczył o braku w społeczeństwie wycucia tego, co jest najpotrzebniejsze, o braku zdolności rządzenia się. Można i trzeba budować wielkie pomniki, ale trzeba przede wszystkim pamiętać o tym, by ludzie mieli możliwość znośnego chociaż bytu.

W naszych życiorysach nie mamy budowania pałaców, ani pomników. Mamy wyczyny drobne, ale w danych warunkach najpilniejsze i dające społeczeństwu realną korzyść. Są to najczęściej sprawy, na dokonanie których państwo lub inna większa organizacja nie ma wpływu lub bardzo mały, a więc nie jest w stanie ich przeprowadzić. Musi je dokonać sama ludność. Jednakże są to sprawy podstawowe, konieczne dla dalszego rozwoju intelektualnego i gospodarczego społeczeństwa. I dlatego są one ważne, bardzo ważne, bo nikt ich nie przeprowadzi poza samą ludnością wiejską. Dopiero po ich dokonaniu, dopiero przy osiągnięciu dostatecznie wysokiego poziomu rozwoju umysłowego i gospodarczego przez większość członków społeczeństwa, można mówić o jego sile, zdolności do działania, o jego wysokiej kulturze. Życiorysy nasze potwierdzają poprzednio wypowiedziane słowa o postępie, a są one bardzo małą częścią tego, co się dzieje we wszystkich osiedlach i wsiach Wołynia.

Dają one nam w pewnym stopniu obraz przeszłego, już w dużym stopniu zanikłego, wewnętrznego życia wsi wołyńskiej. Dają one nam obraz dążeń, poszczególnych zamierzeń w urzeczywistnieniu postępu, dają obraz wkraczania tegoż postępu i trudności z tym związanych. Może te życiorysy są za mało jeszcze wnikliwe, może nie oddają zupełnie dokładnie życia wsi i działalności autorów; te wady są dopuszczalne i naturalne, bo trudno wymagać, by ta sama ręka, co pług

prowadzi, jednocześnie równie sprawnie władała piórem. Są one jednak bardzo cenne jako obraz życia, możliwości i działalności chłopów wołyńskich w minionym lecz niedawnym okresie; są one cenne zarówno z punktu widzenia historycznego, jak też z punktu widzenia praktycznej działalności na wsi w przyszłości. Mam nadzieję, że przysłużą się one wielu wiejskim działaczom zawodowym, lecz może najwięcej tym bezimiennym działaczom, których tysiące jest rozsianych po wsiach wołyńskich.

Życiorysy te były w posiadaniu Instytutu Socjologii Wsi Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, jako plon rozpisanego w 1935 roku konkursu na życiorys wiejskiego działacza społecznego. Zapoznawszy się z nimi, postanowiłem je wydać drukiem, na co też uzyskałem zgodę Instytutu. Składam Mu za to wyrazy wdzięczności. Składam też podziękowanie osobom, które mi pomagały przy drukowaniu życiorysów.

Zygmunt Hermaszewski.

Warszawa w maju 1938.

Lp. 1. Gospodarz na 14 ha

z pow. łuckiego*).

Urodził się na Wołyniu poleskim, we wsi D. pow. łuckiego, w maju 1901 roku. Matka nie mogła się nacieszyć synem, bo dwóch starszych braci umarło, pozostał więc tylko sam Demian i trzy siostry. To też pieoszono go i dogadzano mu, jak tylko na wsi umieją i mogą. Z opowiadań matki i sióstr dowiedziałam się, że był on trochę despotyczny; zmuszał, żeby jego małego wszyscy słuchali za wyjątkiem ojca, którego się lękał i szanował.

Ojciec jego, 12-hektarowy gospodarz, należał do tych średnio za-możnych ludzi, którzy, aby starczyło chleba „od nowego do nowego“, muszą chodzić na zarobki i „zażony“ do dworów; to też pamięta dobrze, że od najwcześniejszych jego lat, zawsze przez całe żniwa pozostawał pod opieką ojca i sióstr. Ojciec brał go ze sobą na każdą robotę. Wcześniej poznał on wszystkie swoje pola i sianokosy rozbite na niezliczoną ilość kawałków, ich żyzność i trudną uprawę.

Nieraz ojciec musiał stać na wozie i brać małego Demiana na ręce, żeby się nie zamoczył, gdy przejeżdżali przez liczne brody. Ojciec wtedy wzdychał, a mały pytał się, czy to wszędzie, na całym świecie jest tyle wody jak u nich. Gdy zaczął paść trzodę na wygonie, często wracał do domu mokry, od stóp do głowy skąpany w bagnie oddzielającym wioskę ze wschodu od ornych pól. Wiodły do tych pól dwie drogi, ale tylko w bardzo suche lata były one bez wody, a tak trzeba było zawsze brodzić przez wodę, po pas małemu głębokiej.

Pamięta dobrze, że miał kolegę, słabowitego chłopca, jedynaka u matki — pasał on gęsi. Matka bardzo o niego dbała, żeby się nie

*) Życiorys, napisany przez U. Z.

zamoczył i nie przeziębiał, to też nasypywała mu w kieszenie owsa i jak tylko gęsi przepłynęły bród i szły do szkody, Hryć wołał i sypał owies, a gęsi, zobaczywszy to, z krzykiem przylatywały do niego.

Lata mijaly szybko. Demian wyrastał na pastucha. Pasał krowy i woły. Czasem, gdy ojciec kupił do gospodarstwa na lato konia, wodził go wtedy na paszę na noc. Oj, noceż to były. Brał sobie kolegę i porzuciwszy konie, łąsikowali sobie. Wiedzieli w czym sadzie najsmaczniejsze jabłka i gruszki, gdzie lęgną się dzikie kaczki, gdzie można złowić lisa, gdzie najczęściej można nałowić „wiunów“^{*)}, a raniuteczko szukali koni i siadłszy na oklep, przyjeżdżali do domu. Nigdy nie próżnowali i nie nudzili się. Ile tych przygód było w jego dziecięcym życiu, to i wypowiedzieć trudno.

Aż przyszła wojna. W D. było jeszcze spokojnie, tylko ojca Demiana i jeszcze kilkunastu gospodarzy zabrano do wojska. Wojna trwała już dwa lata, a wszyscy jednakowo orali, siali i zbierali plon, choć i tych stron ona się minęła.

Pamięta on dobrze, jak pod koniec lata przyjechali do wsi kozaicy i krzyczeli, żeby ludzie uciekali, bo madziarzy przyjdą. I za parę dni przyszli. Było wtedy ludziom różnie: i dobrze i bardzo źle. Na koniec wywieźli ich w Lubelszczyznę na trzy lata. Demian zastępował już wtedy ojca we wszystkich zajęciach i sprawach. Pod koniec trzeciego roku ich pobytu w Diktowie (Lubelszczyzna), ludzie jak ptaszki na wiosnę po dwóch, po trzech zaczęli zbierać się do swoich stron. I Demian przybył z tymi pierwszymi. W wiosce zastali tych, co wrócili z frontu. Połowa z nich to kaleki z obwisłymi rękami, ten z pobitą głową, ów bez nogi, a inny z kulą wrośniętą gdzieś w ciało. Lecz ojca Demiana jeszcze nie było... Demian pracował kolejno u swojego wuja Zénka, potem u Dempa i Hawryła i tak pracując oczekiwał się, aż powrócili wszyscy ludzie do wioski i rodzina Demiana wraz z ojcem. Którejś nocy ojciec Demiana wraz z wujami i synem poszedł łowić wiuny w braku żywności w te miejsca, gdzie on dzieckiem pasał trzodę. Przekopali wąski rowek w pobliskie krzaki i ustawili kosze. Przez noc zbiegła wszystka woda z bagna i kosze zabrała, ale rano tyle było ryb, że nie tylko oni, ale i inni ludzie nosili workami. Wtedy to pomyślał młody Demian, że można by tę ziemię osuszyć, aby tylko ludzie zechcieli popracować.

*) Piskorze. Red.

Ale wówczas nie było czasu i nie było komu o tym myśleć. Ludzie zaczęli intensywnie pracować, żeby nie umrzeć z głodu i żeby móc gdzie mieszkać. U kogo było więcej roboczych rąk jak dwoje, to ci poszli w świat za chlebem, na zarobki. Oj, zobaczyli wtedy ludzie świata... J Demian zobaczył, jak ludzie żyją i jak pracują. To też wróciwszy do domu, starał się on te roboty robić u siebie i drugich nauczyć. Już trochę zagospodarowano się. Rodzice zaczęli naganiać Demiana, żeby się żenił. Nareszcie ożenił się z dziewczyną z sąsiedniej wioski. Nie miał kiedy nawet pomyśleć o sprawach społecznych, bo zabrali go do wojska. Dopiero tam zobaczył, co znaczy nauka; to też jak mógł, tak starał się, żeby się nauczyć czytać i pisać. Miał czas i swobodną głowę, był pojętny, to też w ciągu dwu lat nauczył się nieźle czytać i pisać po ukraińsku i po polsku. Gdy wrócił do domu, zaliczono go do najbardziej piśmiennych ludzi w wiosce. Zaczął się już teraz więcej zajmować sprawami społecznymi. Wujek Demiana, Hawryło, był sołtysiem, przynosił czasem gazety, które Demian czytał ludziom na wieczorynkach. Wtedy sam i z ludźmi zaczął krytykować całe życie „wsiowe“ i dochodził do wniosku, że jednak sołtys nie postępuje tak, jak powinien i że, choć ma władzę i zdolność do kierowania gromadą, zużywa ją na własną korzyść i nie garnie się do pracy społecznej. Wkrótce też gromada wybrała kogo innego na sołtysa, a Demian z jednym sąsiadem, Iwanem S., zaczęli projektować i zmuszać sołtysa do pracy dla dobra gromady. Przez przez parę lat tak sołtysowi dokuczali, że sam ustąpił z sołtysostwa, a wtedy wybrano Demiana.

Kiedyś myślał on, że rządzić gromadą i wprowadzać w czyn wszystkie dobre projekty i zamierzenia wspólnej pracy gromadzkiej jest łatwo, teraz już spróbował. Nie ma cięższej pracy nad tę właśnie, szczególnie w ciemnych wsiach, gdzie trzeba dołożyć wiele trudu nie tylko fizycznego i moralnego ale i materialnego.

Najprzód chciał nowy sołtys zrobić drogę wioskową przez pamiętne z dzieciństwa i obecnie dokuczliwe brody. Zaczął ludzi prosić, ażeby wyszli do roboty na projektowaną drogę. Prośba nie pomogła, więc groził i straszył, a nawet z jednym musiał się pobić, lecz droga została zrobiona. Nie taka dokładna, ale dzieci się teraz nie topią i ludzie mogą suchą drogą przewozić wszystko z pola.

Przy drodze były tak pogrodzone pola, że nie można było się rozminąć, ale za staraniem Demiana i tę przeszkodę usunięto, choć nie

obeszło się bez klątw i wymysłów ze strony właścicieli działek zagrodzonych.

Na zachód od D. pomiędzy ornymi polami, jest wielka dolina latem zupełnie sucha, ale na wiosnę i w jesieni zbiera się w niej tyle wody, że zajmuje ona orne pole i zasiewy. W 1931 roku były wielkie ulewę w jesieni. Woda w dolinie tak wezbrała, że zajęła kilkadziesiąt hektarów pola wcześniej zasianego oziminą. Nie było to pierwszy raz i ludzie biernie znosili takie straty jak wymoknięcie ozimin. Dolinę tę odgradzał od „wielkiego bagna“ łańcuch pagórków do czterech metrów wysokich. Trzeba było szukać ratunku. Zebrał Demian ludzi, zaczął im tłumaczyć, że trzeba przekopać przez pagórki rów. Lecz jego myśl zrozumiało zaledwie kilku gospodarzy, a reszta kleła Demiana i wymyślała, że dziadowie i pradziadowie bez tego żyli, a młody sołtys wymyśla ciężkie roboty, jak rozkopanie góry.

Lecz Demian klątw nie słuchał. Z kilkoma ochotnikami poszedł na miejsce wytyczyć granice i zacząć robotę. Ochotników było bardzo mało, więc musiał Demian wziąć znak sołtysa i postąpić służbowo. Wyganiał ludzi z chat i z pola i pędził do tego rowu. Gdy wszyscy wzięli się do roboty, za 5 godzin góra została przekopana i woda tak prędko zbiegła z doliny, że za dwa dni można było już orać i siać żyto. Nawet wrogowie Demiana zobaczyli, że wspólnymi siłami można „przekopać góry“.

Na sesjach sołtysów w gminie poznał Demian instruktora rolnego T. W porozumieniu z sołtysami z sąsiednich wiosek były zaprojektowane wykłady rolnicze w J. — dużej wiosce oddalonej od D. o 4 kilometry. Kilka razy odbyły się tam wykłady, lecz na nie z tamtych wiosek nikt nie przychodził. Na prośbę Demiana wykłady przeniesiono do D. i tu założono „Kółko Rolnicze“, w którym wybrano go na prezesa. Pierwszym krokiem nowoutworzonego Kółka były starania, żeby za pośrednictwem O. T. O. i K. R. w Łucku wywołać komisję klasyfikacyjną na lotne piaski i zabagnione łąki dla zmniejszenia podatków. Wtedy już kółkowicze dobrze poznali drogę do powiatowego miasta Łucka odległego od D. o 65 km. Maszerowano zawsze na piechotę, bo ludność nie chciała dawać żadnych składek na ten cel, nie wierząc w jego skuteczność, i jeszcze wyśmiewano i straszono kółkowiczów, że który z członków zechce się wypisać z kółka, to i za 200 zł. się nie wypisze. A i teraz jeszcze pokutuje zdanie, że zapisanie się do Kółka

Rolniczego bęłzie kosztować dwa złote, lecz wypisanie się będzie kosztować 200 złotych. Są to argumenty wrogów organizacji.

Musiał Demian dużo dołożyć starań, żeby tę organizację jakoś utrzymać, bo na wykładach i zjazdach przekonał się, że organizacja jest wielką potęgą. Wkrótce wszyscy mogli to zobaczyć, bo starania kółkowiczów nie poszły na marne. Przyjechała komisja i po obejrzeniu gruntów zmniejszyła wszystkie podatki prawie o połowę. Korzyść dla gromady była bardzo wielka, nawet sąsiednie wioski zazdrościły, lecz jeszcze nie wszyscy ją rozumieli. Ale to był pierwszy początek wiary w siłę organizacji i nabrano jeszcze większej ochoty do niej.

Teraz częściej zaczęły się odbywać zebrania, pogadanki rolnicze i konkursy. Teraz, albo nigdy — myślał Demian osuszemy swoją ziemię. I zaczął robić starania. Za zgodą gminy zwołał Demian zebranie gromadzkie, na którym gospodarze mieli przeprowadzić uchwałę o melioracji. Ile tam było krzyku i przekleństw! Dochodziło nawet do bójki, żeby uchwałę nie pozwolić przejść. Narobił tym sobie Demian dużo wrogów spośród tych, którzy mieli największe wpływy w gromadzie, ale uchwałę zrobiono. Natomiast jej wykonanie było trudniejsze z tego powodu, że „wpływowi ludzie“ chcieli Demiana usunąć z sołtysostwa poddając różne fałszywe dowody, obciążające go.

Jest w D. gajowy lasów państwowych, człowiek rodem z D., nawet kolega Demiana, który na prośbę przeciwników starał się wszystkimi sposobami szkodzić pracy Demiana. Był on bardzo niespokojnego charakteru i za czasów swego kawalerstwa często bił się ze swoimi towarzyszami, a gdy został gajowym, wszyscy musieli ustępować mu z drogi. Aż na Nowy Rok 1933 r. w tzw. „szczodruchę“ napił się gdzieś w sąsiedniej wiosce i tam prawdopodobnie ktoś go nabił. Przyszędłszy do D., zjawił się u Demiana o północy, narobił krzyku i gwałtu i nawet groził dzieciom karabinem. Demian jako sołtys uprosił go, żeby wyszedł z chaty. Gajowy kazał Demianowi zbudzić śpiących w sąsiedniej chacie. Nocował tam chłopak, na którego gajowy był zły, napadł więc na niego i zaczął bić. Nie pomogły tłumaczenia, ani Demiana, ani chatnich, że chłopak nie winien, zbił go karabinem do krwi, aż długo chorował. Sądził się potem. Demian był świadkiem ze strony tego chłopca. Za powiedzenie prawdy sędzia o mało mu sołtysowskich znaków nie zerwał, bo wszyscy świadkowie, w obawie przed zemstą gajowego, świadczyli na jego korzyść. Potem jakoś wszystko ucichło. Aż raptem, jak grom z jasnego nieba, uderzyła wia-

domość, że Demian zerznął dęba w państwowym lesie. Gajowy, mszcząc się na Demianie, napisał protokół. Był sąd w miasteczku Kółkach, ale dzięki organizacji, z wielką trudnością Demian wyszedł z niego cało — w protokole bowiem były podane dzień i godziny kradzieży, w których pod kierownictwem Demiana odbywało się zebranie kółka rolniczego. Nadleśnictwo za namową gajowego, podało apelację do Sądu Okręgowego w Łucku, lecz Demiana niewinność była tak prawdziwa, że i tam go nie zasądzono.

Przysłowie mówi, że na pochyłe drzewo i kozy skaczą — tak było i z Demianem. Ledwie minęła jedna napaść, gdy przyszła druga. U jednego z najbogatszych gospodarzy w D. ukradziono dwa woły. Demian był jeszcze niedoświadczonym sołtysem. Kierowało nim serce, nie rozum. To też zawiadomił policję o kradzieży, lecz furmanki po nią nie wysłał, nie wiedząc, że policja tego żąda i karze za niewysłanie. Sam zaś Demian poszedł szukać wołów. Razem z uszkodzonym gospodarzem znaleźli woły i, choć złodzieje strzelali do nich, jednak woły zostały odbite. Tymczasem w domu policja w porozumieniu z gajowym napisała protokół na Demiana, że to niby on ukradł woły. Tłumaczenia ludzi nie pomagały, dopiero na żądanie właściciela wołów protokół zniszczono, a za niedostarczenie furmanki musiał Demian zapłacić 5 złotych. Było mu strasznie przykro.

Potem wszystko ucichło i poszło jakby w zapomnienie i znów zaczęła się praca w kółku. Lecz Demianowi to sołtysostwo strasznie zaczęło ciążyć. Po dwuletnim sołtysowaniu złożył podanie, żeby go zwolniono. Jednak mimo wszystko ani opinii, ani zaufania Demian nie stracił, lecz przeciwnie, jeszcze go większym zaufaniem zaczęto darzyć. Miał poważanie i u ludzi i u władz i ile razy wystąpił z jaką prośbą czy żądaniem do władz, zawsze je w miarę możliwości pomyślnie załatwiano.

Pod naciskiem Demiana zaczęto znów robić staranie o melioracje. Na wiosnę 1933 roku miano już zacząć roboty, lecz przeciwnicy zaczęli agitować, że ta roobta będzie kosztować każdego z osobna po 700 złotych i tak podmówili gromadę, że pracy nie można było zacząć. Ale przez lato i okres zimowy na zjazdach O. T. O. i K. R. Demian występował zawsze na dyskusjach z prośbą, aby władze wpłynęły i wprost zmusiły gromadę w D. do wykonania uchwały melioracyjnej.

Tymczasem w zimie zapoznał się Demian z wieloma spółdzielniami i udało mu się namówić ludzi i założyć spółdzielnię spożywczą.

Członków było zaledwie piętnastu. Musiano zaciągnąć pożyczki na zakup towaru. Przed samymi prawosławnymi świętami Bożego Narodzenia przywieziono towary i zaczęto targ. Kierownikiem spółdzielni wybrano naturalnie Demiana, a na sklepowego jednego z najuczciwszych członków. Musieli przez cały tydzień targować we dwóch, gdyż jak na D. było to coś nadzwyczajnego; targ dzienny dochodził do 70 złotych.

Ludność szła do spółdzielni nie ze zrozumienia lecz z próżnej ciekawości — jak to chłopci mogą targować, gdyż tu istnieje przesąd, że handlem mogą zajmować się tylko Żydzi. Ale naprawdę trudno im było targować. A ileż to było żartów i śmiechów, jak przyjdzie gosposia z kilkoma funtami fasoli czy lnu (a o kilogramach nie można i wspominać, bo zna tylko funty) i trzeba jej za to wyliczać pieniądze i znów za te pieniądze wydać towar. Wtedy wszyscy obecni w sklepie musieli pomagać. Ale ochota przemogła wszystkie trudności. Znalazła się dziewczyna troszkę zdutniejsza do tej roboty, zaangażowano ją i praca poszła dobrze. Członków przybywało.

Ponieważ spółdzielnię umieszczono w chacie Demiana (bezpłatnie), więc schodziło się do niego dużo ludzi, a teraz to już i chata nie mogła ich pomieścić. Przy tej okazji tak rozmawiano z ludźmi, że większość rozumiała owocną pracę spółdzielczą.

Na wiosnę 1934 roku zwrócił się Demian, jako pełnomocnik melioracyjny, z prośbą do władz, żeby gminny szarwark drogowy użyć na meliorację, a kiedy dostał pisemne zezwolenie, wtedy on ze swoją gaską ochotników poszedł kopać rów w łożu. Tymczasem przeciwnicy wszelkich poczynań wysłali delegację do zarządu gminy, która i tam zaczęła tłumaczyć, że to jest praca daremna, gdyż woda we wskazanym kierunku nie pójdzie, lecz cofnie się i że oni wolą szarwark odrabiać na drodze gminnej, odległej od nas o 10 km, niż kopać w swoich bagnach. Wójt musiał im uwierzyć, bo przyjechał zobaczyć na miejsce. Stało się to wtedy, kiedy zwolennicy melioracji już wykopali rów długi na kilkadziesiąt metrów i doprowadzili ten rów do największego bagna. Kiedy wójt zobaczył, że woda z tego bagna leci tak szybko, że człowiek ustać w niej nie może, zwołał wszystkich i zapowiedział, że wszyscy muszą Demiana słuchać, a kto będzie przeciwny tej pracy, tego aresztuje. Ach! jak Demian był wtedy uszczęśliwiony.

W przeciągu niespełna dwóch miesięcy wykopano kanał długości 4 km. Sejmik za pośrednictwem instruktora wydał chętnym na próbę

sztuczne nawozy i mieszankę traw, żeby posiali na wałach rowu i mieli na pokaz niedowiarkom swoją własną sztuczną łąkę. Kanał trzeba było kopać dalej przez ziemię należącą do czterech sąsiednich wiosek. Sołtysi i ludność tych wiosek stawiali opór, żeby nie kopać, gdyż będzie to dla D. kanał odpływowy. Lecz Demian zaczął wszędzie chodzić i władze o pomoc prosić, tak że władze samorządowe zwolniły i tamte gromady od szarwarku i zmusiły je odrabiać ten szarwark wraz z D. na wspólnych gruntach. W zimie z pomocą instruktora sejmikowego wytyczono i przecięto linie rowów. Na wiosnę 1935 roku za staraniem Demiana przysłano technika melioracyjnego z Łucka, który pilnował roboty i zmuszał do niej opornych. Przy kopaniu różnie mówiono: jedni przeklinali Demiana i kółko rolnicze, drudzy śmieli się, że ludzie kopią „za darmo“ (posądzali Demiana, że dostał łapówkę), aby tylko nie płacić gotówką, inni byli obojętni na wszystko. Robotę przerwały jesienne chłody i wezbrana woda.

Lecz ponad wszystkimi dokonanymi pracami, najwięcej na sercu Demianowi leżała szkoła, której we wsi D. nie było. Piętrzyły się przed nim przeszkody, jednak ducha nie tracił. Występował wszędzie śmiało, bo był już w zarządzie O. T. O. i K. R. i nauczył się na różnych posiedzeniach, jak postępować, żeby celu dopiąć. Dwa razy zbierały się rady gromadzkie dwóch wiosek Z. i D. do podpisania uchwały i w końcu uchwalono budować dwuklasową szkołę. Ale do komitetu szkolnego weszli ludzie niespołeczni, którzy tę pracę wstrzymali. Zwrócił się wtedy Demian do nauczycieli szkół z sąsiednich wiosek, aby dopomogli założyć tymczasową szkołę w budynku prywatnym, nie doszło to jednak do skutku z powodu najbliższych władz samorządowych.

Ile pozostało jeszcze niezrealizowanych planów u Demiana, to i policzyć trudno. Jedne z nich pozostaną już nie zrealizowane, a inne — jak Pan Bóg da!

W roku ubiegłym zimą wyczytał w gazetach, że w Warszawie założono Kasę Targową, gdzie można sprzedawać woły i inne zwierzęta hodowlane. Myśl, że można samym swoje woły odstawić do Warszawy bez pomocy Żydów, nie dawała Demianowi spokoju. To też namówił kilku odważniejszych gospodarzy, zebrano wagon (16 sztuk) wołów i sam Demian z jeszcze jednym gospodarzem pojechali w daleką podróż. Pierwsza próba udała im się dobrze, to też Kółko Rolnicze w D. osławiło się tym na cały powiat. Potem jeszcze parę razy odwiedziono w porozumieniu z wydziałem powiatowym i O. T. O. i K. R. i wo-

ły zaczęto już odstawiać ze wszystkich wiosek. Jak to przysłowie mówi: „nauka nie idzie w las, a z lasu“, tak było i z naszym organizatorem. Nie byli nasi organizatorzy zawodowymi kupcami, nie umieli dobrać jednolitego towaru, przez co parę razy poniesiono straty. Zaczął wtedy Demian znów stukać do władz, żeby na miejscowych targowiskach ustawiono wagi, żeby rolnicy mogli sprzedawać zwierzęta na wagę i żeby na miejscu wiedzieli, która sztuka nadaje się do odstawienia do Warszawy. Po dwuletnim czekaniu i staraniu się w roku 1935 wagi postawiono.

Takie załatwienie próśb i żądań coraz więcej zachęcało nie tylko Demiana, ale i innych, to też, jak było zakończenie konkursów rolniczych, wszyscy szli na nie ochotnie, każdy z nadzieją, że jego praca będzie wyróżniona i nagrodzona. Ta praca organizacyjna „zaraziła“ również i nasze ciche i nieśmiałe poleskie kobiety, więc założyły swoje kobiece koło gospodyń. Urządzono kurs gotowania, na którego zakończenie miał przyjechać pan starosta. Ludzie z D. i sąsiednich wiosek zebrali się tłumnie, żeby zobaczyć wspólny organizatorski obiad i starostę. Ale pan starosta nie przyjechał, więc po obiedzie zaczęły się przemowy instruktora, kierowników szkół i członków. Chciano założyć w D. jeszcze koło młodzieży wiejskiej.

Lecz nie było sądzonym Demianowi doprowadzić do końca swe plany organizacyjno-społeczne i rozniecać promień oświaty i kultury na ciemnym Polesiu wołyńskim. Ustawiczna walka z wrogami ruchu społecznego, niezrozumienie intencji Demiana przez samorząd gminy — załamały hart jego ducha. W dodatku wielokrotne próby, podejmowane przez Demiana, w kierunku skomasowania gruntów wsi D. zawiodły go i nabył w sąsiedniej gminie T. we wsi B. z parcelacji 14 hektarów gruntu i rozpoczął nowe życie. Gromada wsi B. z radością i uznaniem powitała Demiana, oczekując od niego bardzo dużo. I nie zawiedli się rolnicy z B. Już po dwóch miesiącach Demian bierze czynny udział w kółku rolniczym, w spółdzielni spożywczej i w organizującej się spółdzielni mleczarskiej, pomagając jednocześnie w podtrzymywaniu organizacji na terenie D.

D. 8 stycznia 1936.



Lp. 2

Gospodarz na 23 ha, były wójt

z pow. łuckiego.

Urodziłem się 24 grudnia 1889 roku z ojca Hordija P. i matki Agafii z domu M. Rodzice trudnią się rolnictwem, posiadają 8 dziesięcin różnorodnej, uprawnej ziemi, położonej w szachownicy w 24 kawałkach we wsi S., gminy K., pow. łuckiego.

Zazwyczaj w rodzinach wołczańskich rolniczych na wsi małe dziecko, gdy przestaje być pilnowane przez matkę względnie starsze dziecko, w wieku 4 — 5 lat, jest zmuszone do pilnowania swego młodszego rodzeństwa. Tak samo i ja doglądałem dzieci i pomagałem matce w gospodarstwie domowym do lat 9. Na jesieni 1898 roku zostałem odprowadzony przez matkę do szkoły, tak zwanej „Szkoły hramoty“. Ta szkoła została otwarta przed czterema laty i była utrzymywana kosztem gromady, która wynajmowała nauczyciela za 45 rubli rocznie. Był to najniższy typ szkół pozostający pod wyłączną władzą duchowieństwa.

W porę letnią wypasałem bydło swych rodziców. W szkole uważano mnie za najpilniejszego ucznia.

Dnia 30 kwietnia 1902 roku zdałem egzamin przy cerkiewno-parafialnej szkole we wsi O. gminy K. z wynikiem bardzo dobrym. Dostałem od komisji egzaminacyjnej w nagrodę książkę modlitewnik - katechizm w posrebrzanej oprawie; na tym miała skończyć się moja nauka.

Nauka w szkole była prowadzona przeważnie w kierunku religijnego wychowania, czytania w języku cerkiewno-słowiańskim, poznania katechizmu i wszystkich obrządków cerkiewnych, których uczono na pamięć; w mniejszej mierze uczono czytania i pisanie w języku

rosyjskim. Dążenie i chęć do nauki była u mnie nieograniczona, lecz po pierwsze środki materialne moich rodziców nie pozwalały na dalszą naukę, a po drugie były pewne przeszkody i ograniczenia dla dzieci klasy włościańskiej. Pamiętam dobrze, jak to ciężko było raz na zawsze rozstać się ze szkołą, a zarazem i z dalszą nauką. Ileż to razy płakałem gdzieś w kątku, tak aby nikt nie zauważył. Pragnieniu wiedzy czytania i pisania nie było granic. Zawsze w czasie wolnym od robót gospodarczych i w święta miałem książkę w ręku, którą bardzo trudno było dostać we wsi, jako że na całą wieś było 3 — 4 osoby piśmienne, które nauczyły się tego w wojsku. Często pisałem listy do wojskowych od ich rodzin, co stanowiło dla mnie największą przyjemność.

Na listy, pisane przez mnie dla jednej staruszki sąsiadki do jej syna Jana N. zawodowego pisarza wojskowego w Turkiestanie, zwrócił uwagę ów J. N. i zaczął drogą korespondencyjną douczać mnie w samej nauce pisania i czytania, a z biegiem czasu wtajemniczać mnie w wiedzę z historii i geografii, a następnie dawać mi lekcje z życia gospodarczego i politycznego kraju oraz panujących ówczesnych stosunków społecznych.

Wujek Jan N. był włościaninem z naszej wsi; często w listach pisanych do nas w gorących słowach opisywał krzywdy, jakich dopuszcza się car i jego rząd w stosunku do ludu wiejskiego, czego wówczas pisać było nie wolno. Sam J. N., jak okazało się później, należał do partii socjal-rewolucjonistów. W roku 1905 na zapytanie moje, czy warto kupować ziemię od miejscowego ziemianina, czy też wierzyć, że car da ziemię bezpłatnie dla małorolnych i bezrolnych, jak to chodzą pogłoski pomiędzy ciemnotą wiejską, wujek Jan odpowiedział: „zasadniczo ziemia powinna być nadana małorolnym i bezrolnym bezpłatnie, lecz nie spodziewajcie się — nie dostaniecie; car, największy obszar, swej ziemi nie da bezpłatnie, a inni nie odstąpią — kupujcie“. Szczera rada dla swych rodaków odniosła skutek.

Stosując się do rad i wskazówek wujka Jana zaprenumerowałem gazety: najpierw tygodnik „*Sielski Wiestnik*“, a następnie codzienną „*Ruskoje Cztiennije*“ i tygodnik ilustrowany „*Drużeskije Reczy*“.

W roku 1909 ożeniłem się i przeniósłem się na gospodarstwo teścia, jako „*przyjmak*“*). Życie w nowej rodzinie było przykre, ciężkie,

*) Przyjęty do rodziny — *przyjmak*. Red.

a czasami nieznośne i przez to nie miałem czasu i możliwości dalszego samokształcenia się.

W tymże roku 1909 gromada wiejska, składająca się z 136 dworów*) wybrała mnie wraz z drugim starszym gospodarzem niepiśmiennym na pełnomocników do spraw sądowych dla obrony interesów gromady w sprawie z powództwa miejscowego dziedzica senatora D. N., który chciał odebrać gromadzie pastwisko serwitutowe (prawo służebności). W rezultacie sprawa została przez nas wygrana we wszystkich instytucjach sądowych.

Po wygraniu sprawy skłoniłem gromadę do kupna ziemi po niższej cenie z majątku senatora N., ziemi położonej w szachownicy pomiędzy gruntami nadziałowymi naszej gromady o ogólnej przestrzeni 566 dziesięcin różnorodnej ziemi, przeważnie poleśnej. Majątek powyższy został nabyty przez gromadę wsi S. za pośrednictwem Banku Włościańskiego w Żytomierzu za 47.000 rubli, z których 17.000 rubli zapłacono gotówką z góry, a 30.000 rubli pożyczką Banku Włościańskiego.

W roku 1911 po otrzymaniu aktu kupna zostałem upoważniony przez gromadę do poczynienia starań w odnośnych instytucjach ziemskich o przeprowadzenie komasacji gruntów nadanych o przestrzeni 760 dziesięcin i nabytych 566 dz., które znajdowały się w szachownicy i wobec rozdrobnienia (około 25 działek na jednego gospodarza) były niemożliwe do wykorzystania.

Na jesieni roku 1911 powołano mnie do odbycia służby wojskowej, lecz jako najstarszego syna u rodziców, chociaż byłem przyjęty do służby czynnej, po trzech miesiącach zwolniono mnie.

Po dłuższych staraniach w roku 1912 zostały rozpoczęte przez powiatowy urząd ziemski (*Zemlestroitel'naja komisja*) roboty techniczne do przeprowadzenia komasacji, które trwały przez dwa lata i były już na ukończeniu, lecz wojna światowa przeszkodziła i roboty komasacyjne zostały przerwane.

Dążąc do podniesienia kultury rolnej w swojej wsi w roku 1912, wystarałem się od powiatowego Ziemstwa w Łucku o wszelkiego rodzaju pomoce w dziedzinie teoretycznego i praktycznego prowadzenia gospodarki wzorowej na wsi. Przede wszystkim były zarządzane przez instruktora rejonowego p. Rościszewskiego i innych pogadanki rol-

*) Domów. Red.

nicze, została sprowadzona popularna biblioteka rolnicza, otwarto stację wypożyczania narzędzi rolniczych, sprowadzono nasiona zbóż doborowych, jak również zakładano pólka doświadczalne z zastosowaniem nawozów sztucznych. W roku 1914 został otwarty w naszej wsi oddział powiatowego ziemskiego składu narzędzi rolniczych.

Starania moje nie pozostawały bez skutku, te rzeczy pożyteczne, o których dowiedziałem się z gazet, względnie od ludzi kompetentnych wprowadziłem w życie, coraz szerzej zainteresowując nimi otaczający ogół mych sąsiadów.

W całej naszej okolicy gospodarstwa rolne drobnej własności bardzo marnie wyglądały. Rola była uprawiana w większości wypadków drewnianymi pługami (sochami) i drewnianymi bronami, to też nie dziwnego, że w pierwszych latach agronomicznej propagandy wzrosło zapotrzebowanie na narzędzia rolnicze o tyle, że został otwarty wspomniany oddział składu narzędzi rolniczych.

Instruktorzy rolni uważali mnie za gospodarza przodującego, o własnej inicjatywie i mającego wpływ na ogół okolicznych gospodarzy, dlatego byłem zapraszany na wszystkie zjazdy, konferencje rolnicze (*agronomiczeskije sowieszczania*) przy powiatowym Ziemstwie w Łucku. W roku 1913 Ziemstwo delegowało mnie na 7 dni do Kijowa na wszechrosyjską wystawę, a w roku 1914 zostałem wyznaczony przez gubernialne Ziemstwo w Żytomierzu na wycieczkę na Morawy, która to wycieczka z powodu wojny światowej nie odbyła się.

Po wybuchu wojny światowej byłem powołany do czynnej służby wojskowej; pozostawiłem w domu przy teściu żonę i dwoje dzieci: syna i córeczkę. W dniu 18 sierpnia 1914 roku zostałem wcielony do szeregów 644 pieszej drużyny etapowej, w której od pierwszego dnia byłem pisarzem w 2-jej kompanii. Na tym stanowisku pozostawałem do miesiąca grudnia 1915 roku. W grudniu 1915 roku 644 piesza drużyna została przeformowana na 506 pułk piechoty, w którym zostałem wyznaczony na starszego pisarza pułku w oddziale gospodarczym.

Wojna światowa wyzwoliła mnie z jarzma rosyjskości. Byłem tak przesycony literaturą w języku rosyjskim, że uważałem własną mowę ukraińską na Wołyniu i mowę polską, którą rzadko słyszałem, za nie posiadającą własnej literatury, jako że książek na wsi w tych językach nie można było zdobyć. Poza tym zamieszkujący tu na

wsiach Polacy rozmawiali po ukraińsku, a w szkołach uczyli się po rosyjsku. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po przejściu granicy austriackiej, podczas pierwszego noclegu w m. Cholojów, w miejscowej szkole, otworzyłem szafę i pierwszą książką, jaka wpadła mi do rąk, była ukraińska czytanka. Radości mojej nie było granic. Płakałem. Jak okazało się, w tej szafie wszystkie książki to były podręczniki szkolne w języku ukraińskim; nimi, przyznam się, naładowałem do połowy mój plecak. Wtedy dopiero zrozumiałem tę wielką pod względem oświaty wolność ludu zamieszkałego w państwie austriackim, gdzie nauka w szkołach była prowadzona w języku macierzystym.

Po ulokowaniu się mniej więcej na stałe w miejscach kwaterowań sztabów III armii i IX korpusu w m. Kolbuszowej, Przeworsku, Pilźnie i Tarnowie miałem dość wolnego czasu i możliwości do zaznajamiania się z tamtejszą ludnością polską. Jak nigdy w życiu, nie spodziewałem się, że będę mógł rozmawiać i rozumieć język polski, tak raptownie, w krótkim czasie nauczyłem się czytać i pisać po polsku; dopomogły mi w tym dzieci szkolne i kobiety. Bardzo byłem ujęty gościnnością i uprzejmością tamtejszych mieszkańców, wśród których przebywałem przez całą zimę do miesiąca kwietnia 1915 roku. Następnie oddział nasz został przerzucony w głęboki tył (Odesa - Bendery), gdzie był przeformowany na 506 pułk piechoty i przygotowywany do wymarszu na front turecki.

W dniu 6 maja 1916 roku po przejechaniu morza Czarnego, wyszliśmy na brzegi Anatolijskie w Turcji, w pobliżu miasta Trapezund. W pierwszych dniach byliśmy przerzucani po brzegu morza Czarnego: Trapezund, Płatana, Surmała, a w niedługim czasie w głąb lądu na wysokie wzgórza: Dżywizlik, Chamsikieji, Zinana-Korduni, Zinana - Chantary. W tym ostatnim miasteczku, odległym 74 km od Trapezundu i 65 km od pozycji Koszak, przesiedziałem za stołem kancelaryjnym jak w więzieniu półtora roku; oprócz nawisłych szarych gór kamiennych i szarych żołnierzy nikogo nie widziałem.

Po demobilizacji powróciłem do domu w dniu 20 lutego 1918 roku. Zostałem w domu żonę i syna. Córnica zmarła. Gospodarka była zniszczona doszczętnie, gdyż przez dłuższy czas miejscowość była terenem najcięższych walk i przez 9 miesięcy okupowali ją Niemcy.

Dnia 25 lutego 1918 roku na podstawie regulaminu wyborczego i przepisów prawnych Tymczasowego Rządu Rosyjskiego, z których

korzystała Ukraińska Centralna Rada, zostałem wybrany przez radę gminną wójtem gminy K. Urząd objąłem dnia 1-go marca 1918 roku. Niezależnie od tego, że rząd ukraiński zmieniał się trzykrotnie: Centralna Rada, Hetmańszczyzna i Petlurowszczyzna, ja przez cały czas pozostawałem na swym stanowisku, a to zawdzięczając temu, że byłem znany ze swej pracy społecznej przed wojną wśród okolicznej ludności wiejskiej, jak również i wśród inteligencji, zajmującej wyższe stanowiska w instytucjach powiatowych. Pomimo to nie wtrącałem się w gorączkowe sprzeczki polityczne, zawsze starałem się zachowywać się rozważnie i spokojnie. Jednakowoż osobiście, według swych przekonań politycznych należałem do *Związku Chleborobów Sobstwiennikow* i byłem członkiem powiatowego zarządu w Łucku (miesiące maj — październik 1918 r.).

Ani wujek Jan N. jako social-rewolucjonista w swych częstych listach, ani krzycząca prasa socjal-demokratów bolszewików nie mogli na mnie wpłynąć i nawrócić do swych programów. Jak nie byłem zadowolony z poprzedniego rządu carskiego, gnębiącego chłopą, tak również nie widziałem zbawienia dla nas chłopów w programach walczących partyj. W walce o władzę, o panowanie jednej klasy nad drugą chłop wiejski przez nieświadomość, łatwowierność i brak organizacji zawsze przegrywał. Dlatego też uważałem za stosowne postępować jak nakazywało sumienie, kierując się ogólną tradycyjną zasadą swych sąsiadów, miejscowych chłopów: przede wszystkim bronić swego kawałka ziemi, jako nienaruszalnej własności.

Walka na froncie wojny światowej z rozkazu władz nie była tak gorączkowa i zacięta, jak samoofiarna walka polityczna, tworząca wir rewolucyjnej przepaści dla niektórych odłamów ruchu. Kotłownina wytworzyła się na ostatnim wszechukraińskim zjeździe Chleborobów Sobstwiennikow w Kijowie (w roku 1918, od 1-go do 6-go listopada), na który byłem delegowany jako przedstawiciel drobnej własności pow. łuckiego.

Bardzo ciekawy był przebieg tego zjazdu. Najgłówniejszym tematem obrad zjazdu było zaspokojenie potrzeb małorolnych i bezrolnych chłopów wiejskich. Aktualne rozwiązanie tej kwestii miało polegać na tym, aby ograniczyć większą własność i przeprowadzić reformę rolną. Inicjatywa według wymagań czasu pochodziła z dołu i była podtrzymywana przez głowę rządu, hetmana Skoropadskiego, który na zjeździe osobiście podkreślił konieczność wprowadzenia w życie

szerokiej reformy agrarnej nie wykluczając ograniczenia większej własności.

Pierwszego dnia zjazdu zostałem wybrany na członka do komisji agrarnej od wołyńskiej gubernii, jako reprezentant drobnej własności, a od wielkiej własności wybrano pana L. (młody — niepomierna siła). Komisja urzędowała cztery dni poza zebraniem walnego zjazdu, w godzinach wieczornych; głównym referentem był pan Znosko-Borowski.

Zawdzięczając różnym sprytnym wykrętom w kombinowanym głosowaniu rezolucji na czwartym wieczorowym posiedzeniu komisji agrarnej, na którym przed głosowaniem celowo byłem wyproszony przez pana L. i skierowany do drugiej sali na gubernialną konferencję, i następnego dnia na zebraniu walnego zjazdu sprawa została załatwiona negatywnie, oddalając w całości wysunięty projekt reformy rolnej — nie ma ziemi dla bezrolnych i małorolnych. Historyczny to był wyrok w polityce państwa ukraińskiego, w którym nieodpowiednie nastawienie, omyłność, a może nawet i niesprawiedliwość pociągnęły za sobą bezradność a nawet i nienawiść wielkich mas społeczeństwa do własnego rządu i państwa. O ile ciężki był wówczas wyrok dla chłopą na piśmie, o tyle później przez parę miesięcy surowo został on wykonany nad pp. Lelawskimi, Andro itd. Z powodu nieprzychylniej opinii publicznej wyrażonej w gazetach wieczorowych, wobec przeciwstawienia się zjazdu chleborobów reformie rolnej, należało oczekiwać groźnych niespodzianek. Ja zrezygnowałem z dalszej obecności na zjeździe i w nocy wyjechałem z Kijowa. Następnego dnia zjazd rozpędzono, pod samochody chleborobów rzucano bomby i sala na Aleksandrowskiej ulicy opustoszała.

Około 15 listopada 1918 roku otrzymałem telefoniczny rozkaz podporządkowania się władzom petlurowskim.

Ciężkie to były czasy dla piastowania urzędu wójta gminy. Należało wykonywać różnorodne polecenia władz administracyjnych; przybywająca z ewakuacji ludność cywilna i powracający po demobilizacji wojskowi cierpieli głód — trzeba było szukać dla nich ratunku. Bardzo dużo starań dołożyłem w tym kierunku i, zawdzięczając dobrym stosunkom z ziemską władzą powiatową w osobie ś. p. Ignacego Balińskiego, korzystałem ze specjalnych względów i zawsze miałem prawie dostateczny przydział produktów pierwszej potrzeby, sprowadzonych wagonowo w postaci ziarna, mąki, soli, cukru, itd. W tym celu

zorganizowałem przy gminie oddział aprowizacyjny, przez który ludność całej gminy za pośrednictwem sołtysów była zaopatrywana w potrzebne produkty.

Nie mniej kłopotów miałem z ulokowaniem bezdomnych mieszkańców gminy, powracających na swe rodzinne miejsca, gdzie wojna doszczętnie zniszczyła wszystkie zabudowania — trzeba było dopomóc i uzyskać pozwolenie na budulec.

Od wiosny 1919 roku na terenie mej gminy toczyły się walki; chociaż mało znaczne w sile działań, lecz ze względu na ugrupowanie bardzo charakterystyczne. Mianowicie pod koniec miesiąca kwietnia i na początku maja południową część terenu gminy po prawej stronie Styru zajmowali Petlurowcy, lewą stronę rzeki Styr, ze strony północno-zachodniej — wojska polskie, a stronę północno-wschodnią wojska bolszewickie. Ciężkie było wówczas moje położenie na stanowisku wójta gminy. Dnia 15 maja 1919 roku wojska polskie przeszły rzekę Styr, zajęły K. i posunęły się naprzód. Po upływie tygodnia byłem aresztowany pod zarzutem przynależności do partii komunistycznej. Po udowodnieniu bezpodstawności zarzutu (wystarczyła legitymacja członkowska związku chleborobów) w tymże dniu zostałem zwolniony.

Po objęciu terenu przez władzę administracyjną, na podstawie rozporządzenia Komisarza Generalnego Ziemi Wschodnich z roku 1919, zostałem mianowany wójtem gminy K. Na tym stanowisku pozostawałem do kwietnia 1920 roku. Przez ten czas, jak i poprzednio, zapobiegałem głodowej śmierci, zaopatrując ludność w artykuły żywnościowe, sprowadzane przez oddział aprowizacyjny. Ułatwiałem również i dopomagałem ludności gminy przy otrzymywaniu budulca z biura odbudowy na pobudowanie mieszkań.

Na wiosnę roku 1920 nabrałem przekonania, że już będzie koniec rządów przejściowym, gdyż nastąpił ład i spokój; rolnik miał już możliwość podbać o swoje gospodarstwo. Dlatego uzyskałem od naczelnika wołyńskiego okręgu zezwolenie na zakończenie prac komasacyjnych w swojej gromadzie, we wsi S. Ze stanowiska wójta ustąpiłem, by móc kierować robotami komasacyjnymi w charakterze pełnomocnika gromady, jak również by móc pobudować sobie własny dom mieszkalny i budynki gospodarcze. Teś mój po 12 latach wydzielił mnie ze swego gospodarstwa, oddając mi równocześnie 7 dziesięcin ziemi (a od swego ojca miałem 5 dziesięcin, z ziemi kupionej przez gromadę).

Po ustąpieniu ze stanowiska wójta gminy, zająłem się pracami gospodarczymi, organizując własną gospodarkę, jak również wznowiłem prace przy robotach komasacyjnych, zakończenie których bardzo obchodziło wszystkich gospodarzy wsi. W sierpniu 1920 roku inwazja bolszewicka przerwała roboty komasacyjne i wstrzymała dalszy ruch gospodarzy. Cały mój majątek ruchomy, jak konie, wóz i bydło zabrane zostały przez wojska bolszewickie, a i ja sam byłem zagrożony. Nie było żadnego ruchu w życiu społecznym. Po odwołaniu bolszewików podjąłem rozpoczętą pracę odbudowania własnego gospodarstwa i wznowiłem roboty komasacyjne.

W roku 1922 zostałem wybrany przez zgromadzenie gminne do rady gminej i na pierwszym posiedzeniu gminnym na członka zarządu gminy — ławnika. Stanowisko wójta było wówczas zajęte z przeznaczenia (nominacji). Na tymże posiedzeniu rady gminnej zostałem wybrany na członka sejmiku powiatowego w Łucku.

W roku 1923 roboty komasacyjne w swojej gromadzie, wznowione po odparciu bolszewików, doprowadziłem do końca, lecz powstały w tym roku urząd ziemski robót tych nie zatwierdził, wobec czego powziąłem nowe starania o wszczęcie postępowania komasacyjnego stosownie do odpowiednich ustaw. Prace komasacyjne rozpoczęto na nowo w roku 1924, a w roku 1926 zakończono i cała gromada wsi S., po 14-tu latach od rozpoczęcia robót, przeszła na nowe działki.

W roku 1926 zostałem wybrany przez radę gminną na stanowisko wójta gminy, a w roku 1927 wybrany przez Sejmik Powiatowy na członka Wydziału Powiatowego w Łucku; zostałem również członkiem komisji powiatowej rolnej i podatkowo-odwoławczej.

Przez cały czas (od roku 1922) urzędowania na stanowisku członka zarządu gminy jako ławnika-skarbnika, a następnie wójta gminy, najwięcej się zajmowałem sprawami gospodarczymi gminy; przede wszystkim odbudowałem budynki siedziby urzędu gminy, które były zniszczone podczas wojny światowej, następnie wybudowałem kilka nowych szkół, przeprowadziłem gruntowny remont w starych budynkach szkół, w miasteczku wybudowałem rzeźnię gminną, urządziłem targowicę, wybrukowałem najgłośniejsze ulice i ułożyłem chodniki, pobudowałem kilka nowych mostów, częściowo pobudowałem i naprawiłem większą ilość dróg gminnych. Wszystko to było robione małym kosztem gminy, przy pomocy instytucji powiatowych, jak biura odbudowy i sejmiku, a to zawdzięczając moim bliskim stosunkom z wła-

dzami wyższych instytucyj; np. otrzymałem od sejmiku 600 ton kamienia do brukowania ulic w miasteczku. Sprowadzałem dla gospodarki gminy nasiona doborowe na zasiew pól, dopomagając równocześnie w dalszym ciągu w sprawach odbudowy gospodarstw wiejskich.

Na wstępie już powiedziałem, że według swych osobistych przekonań za najlepszą uważałem spokojną pracę na swym własnym kawałku ziemi, dlatego przy parcelacji miejscowych majątków nabyłem na własność przy pomocy różnych pożyczek 11 ha ziemi.

Obijając się przez dłuższy czas w środowisku ludzi inteligentnych, wykształconych, z praktycznym wyrobieniem w różnych dziedzinach życia społecznego, dopiero teraz spostrzegłem jaką przepaść dzieli ciemnotę wiejską od ludzi świata inteligentnego, jak również zrozumiałem tę wielką krzywdę, jaka dzieje się wieśniakom z powodu ich ciemnoty i nieświadomości. Równocześnie uważałem, że wyzwolenie chłopów z ciemnoty i niesienie kultury i pomocy rolnikom na wsi może nastąpić dopiero tylko z chwilą udostępnienia oświaty, rozpowszechnianej przez ludzi pochodzących z owej klasy. Postanowiłem dlatego za wszelką cenę dać wykształcenie synowi Metodemu, który w roku 1925, po ukończeniu miejscowej szkoły powszechnej miał 14 lat i chodził za plugiem. W roku 1925 syn Metody wstąpił do państwowej niższej szkoły rolniczej w Trościańcu. W roku 1927 skończył szkołę i po zdaniu egzaminu, jako ekstern z 7 klas szkoły powszechnej, został przyjęty do Średniej Szkoły Rolniczej w Białokrynicy.

W okresie powyższym brałem żywy udział w życiu politycznym, idąc po linii prorządowej. Od roku 1922 należałem do Rad Ludowych, a w roku 1927 wstąpiłem do B. B. W. R. W swej stałej styczności z ludnością informowałem i pouczałem, że już upłynął na zawsze czas przewrotów i nastąpił ład i spokój, przy którym możemy swobodnie, bez obawy gospodarzyć na swojej roli i objaśniałem, że przez konstytucję polską zostaliśmy równouprawnieni, będziemy korzystać ze wszystkich dobrodziejstw ustroju i dobrobyt zagości pod naszą strzechą.

W roku 1928 przyjąłem kandydaturę na posła do Sejmu od B. B. W. R. i figurowałem na liście wyborczej kandydatów w 58 okręgu na 5 miejscu. Chociaż mandatu poselskiego nie zdobyłem, to miałem dość przyjemnych prac i kłopotów w różnych organizacjach i instytucjach o charakterze społecznym poza pełnieniem obowiązków

wójta gminy i członka Sejmiku i wydziału powiatowego. Gospodarka własna we wsi S. rozwijała się. Byłem zadowolony.

Powodzenie moje nie mogło trwać tak długo, aby w pełni można było dojść do celu. Na przeszkodzie stanęły niebawem dwie bardzo ważne rzeczy. Pierwsze to partyjna nienawiść, która wówczas panowała przeważnie w środowisku Ukraińskiej Radykalnej Partii w stosunku do mnie od czasu mego wstąpienia do B. B. W. R. Prowodrzy tych partyj mieli wpływ na samorząd powiatowy, a jeden z nich pan G. był władzą nadzorczą — zastępcą inspektora samorządu gminnego, który następnie spowodował, zorganizował i przedstawił przeciwko mnie cały szereg zarzutów, występując z wnioskiem o zwolnienie mnie ze stanowiska wójta gminy. Druga rzecz, to pełnienie dwóch przeciwnych stanowisk w jednej osobie — byłem wójtem gminy i członkiem wydziału powiatowego, gdzie starosta powiatowy, jako przewodniczący wydziału jest bezpośrednią władzą zwierzchnią wójta. Przy równoczesnym prowadzeniu kolegijskiego zarządu nad gospodarką powiatową z udziałem tegoż wójta zdarzała się niejednokrotnie sposobność wykazywania swego przeciwnego zdania wobec projektów i postulatów wysuniętych przez przewodniczącego. W nowej ustawie o samorządzie podobny stosunek władz został wykluczony.

Przynależność moja narodowościowa jako Ukraińca nie była brana pod uwagę przez czynniki urzędowe, jak również miejscowa ludność polska była zadowolona z mego rządzenia, gdyż pracowałem w kierunku łagodzenia stosunków i zjednania obu bratnich narodów, zamieszkujących na tutejszym terenie; lecz szowiniści narodowościowi, pochodzący ze skrajnych stronnictw, nie mogli ścierpieć mnie na stanowisku wójta gminy.

Spodziewaną przykrość poprzedziło i inne jeszcze gorsze nieszczęście; w roku 1929 zachorował mój syn Metody na gruźlicę kości w stopie prawej nogi i zmuszony był wystąpić z drugiego kursu Średniej Szkoły Rolniczej w Białokrynicy.

W dniu 17 maja 1930 roku zostałem zwolniony ze stanowiska wójta gminy, a przed paru miesiącami zmuszono mnie w sposób podstępny, abym zrzekł się członkostwa wydziału powiatowego. Potrzebne to było ówczesnemu staroście panu B. Nie myślę, aby nie podobało się jemu to, że brukowanie ulic u mnie wynosiło prawie o 5 zł taniej na każdym metrze kwadratowym, niż kosztowało brukowanie na drogach powiatowych i inne temu podobne rzeczy.

Teraz dopiero zaczyna się u mnie prawdziwie nędzne życie chłopskie; ale to jest prawdziwe życie, w pełnym znaczeniu tego słowa. Długi z tytułu pożyczek krótkoterminowych na kupno ziemi, ogromne koszty leczenia syna, nagromadzone przez półtora roku w klinice chirurgicznej we Lwowie i w prywatnych lecznicach, podatki, składka ogniowa, należności za wirówkę „Diabolo“, należność za blachę ocynkowaną, zapłata robotników rocznych i dziennych i inne należności mniejsze lub większe razem około 14 tysięcy zł — wszystko naraz płatne. Z drugiej strony cena na zboże i bydło z każdym dniem spadała. Syn powrócił ze szpitala, chociaż wyleczył się, ale do pracy fizycznej nie był zdolny. Trzy małe córeczki — dwie chodzą do szkoły, a trzecia ma dopiero trzy lata. Pracować nie ma komu. Ja i żona na 23 ha. Trzeba jeszcze wynająć robotników. Cena zaś na robociznę trzyma się wysoko. Długi nie czekają, trzeba płacić. Egzekutor ciągnie ostatnie manatki. Sytuacja bez wyjścia. Do tego dochodzi przygnębienie, przeżywane wskutek pokrzywdzenia przez władzę przełożoną i niewdzięczność pracy społecznej.

Dzięki jednak zahartowanemu w życiu twardemu charakterowi, nie pokazywałem na zewnątrz żadnych ubolewań, przystąpiłem do energicznego wykonywania prac fizycznych we własnej gospodarce, aby w ten sposób zapomnieć o wszystkim. Niezależnie od tego, iż od pracy fizycznej byłem odzwyczajony, wykonywałem ją z wielką chęcią, na podziw wszystkim. Pamiętam jednego razu siałem pszenicę przy drodze. Przejedzający znajomy sędzia grodzki pan W. ze zdziwieniem zapytuje: „co pan pracuje?“ Odpowiadam: „tak panie sędzio, pracuję i chcę pracować“.

Może nawet dobrze zrobiłem, że nie namyślając się długo jeszcze w roku 1930, na jesieni, sprzedałem zboże i do połowy bydło, trzodę chlewną, słomę, siano i w ten sposób spłaciłem około 5 tys. najpilniejszych długów. Spadek cen na produkty rolne, następnie przewlekły okres niewypłacalności gospodarstw wiejskich ochrzczony kryzysem, który zapowiedziany został na dłuższe lata, bynajmniej nie zniechęcał mnie do pracy. Przeciwnie, dokładałem jeszcze większych starań we własnym gospodarstwie.

Nadmierną pracą fizyczną i trudnościami w ciężkim materialnym położeniu nie mogłem zagłuszyć pociągu do prac społecznych. To też jeszcze w roku 1930 uporządkowałem kółko rolnicze we wsi S. które było założone w roku 1928. Zostałem wybrany prezesem kółka,

a następnie członkiem rady nadzorczej do O. T. O. i K. R. w Łucku. Rozpocząłem konkursy uprawy buraków pastewnych i lnu. Prowadziłem propagandę zakładania sadów handlowych na skomasowanych gruntach. Praca moja dała pomyślne rezultaty tak we wsi S., jak i w okolicznych wioskach.

Na początku roku 1933 zorganizowałem i uruchomiłem spółdzielnię spożywców rolnych w S. należąca do związku „Społem“ w Warszawie. Będąc prezesem zarządu spółdzielni, na początku roku 1934 uruchomiłem trzy sklepy filialne we wsiach D. i K. Poza tym zorganizowałem samodzielną spółdzielnię we wsi K. gminy S. Od dwóch lat jestem członkiem rady okręgowej wołyńskiego oddziału związku „Społem“ i pracuję w kierunku rozszerzenia sieci sklepów spółdzielczych na terenie północnej części powiatu łuckiego.

Syn mój Metody przejął ode mnie kierownictwo w kółku rolniczym i jest prezesem zarządu kółka. Poza tym parę lat prowadził buchalterię spółdzielni; zeszłego lata skończył 3-miesięczny kurs Iniar-ski w Wilnie na koszt Wołyńskiej Izby Rolniczej i na razie dostał od Wydziału Powiatowego w Łucku praktykę 3-miesięczną.

Obecnie jestem prezesem rady nadzorczej spółdzielni „Rolnik“ w S. Ustąpiłem miejsca w zarządzie spółdzielni w celu zaznajomienia szerszego ogółu członków przez przystąpienie nowych ludzi do prac w zarządzie spółdzielni. Zorganizowałem kurs wieczorowy dla młodzieży spółdzielczej, gdzie syn prowadził wykłady z zakresu rachunkowości spółdzielczej, aby w ten sposób przygotować kandydatów na sklepowych, buchalterów, członków rad i zarządów spółdzielni.

W jesieni roku ubiegłego zapoczątkowałem budowę własnego domu spółdzielczego. W tym celu został kupiony plac w środku wsi i część materiałów budulcowych. Spodziewać się należy, że we własnym odpowiednim domu można będzie rozwinąć pracę kulturalno-oświatową na wsi, przez założenie świetlicy, czytelnicy, urządzenie zabaw dla młodzieży. Chcemy wspólnymi siłami sprowadzić radio z głośnikiem. To wszystko przyczyni się do obudzenia śpiącej wsi i da chwilę zapomnienia tak ciężkich warunków życia chłopskiego, spowodowanych kryzysem gospodarczym.

Najpilniejsze swe długi częściowo spłaciłem, a pozostałą większość, jak to się mówi, „uregulowałem“ przez konwersję. Wierzę jednak, że musi nastąpić prawdziwe oddłużenie, względnie przywró-

cenie wysokości długu, dostosowując takowy do stanu i warunków z okresu, w jakim powstało obciążenie, bo na razie to jest tylko niesprawiedliwe przenoszenie długów na następne pokolenie, które, Bogu ducha winne, będzie pokutować za grzechy ojców.

O swym bujnym życiu, rozkoszach lub krzywdach (lata 1918 — 1930) prawie zapomniałem i obecny stan rzeczy w porównaniu z czasem przeszłym mnie nie interesuje, gdyż nie byłbym zdolny kierować i urzędować z milczącą radą i groźnie krzyczeć na podwładnych sołtysów lub na bezradnego chłopca.

Cieszę się nadzieją, że zmieniają się ciężkie warunki bytowania chłopskiego na wsi. Panowie L.*) będą wspaniałomyślni i zgodzą się na częściowe uszczuplenie swych ciężarów na rzecz chłostwa, podnosząc równocześnie oświatę i rozpowszechniając kulturę, będą swobodnie i bezpiecznie pracować na uciechę i korzyść sobie, państwu i społeczeństwu. W ten sposób dojdziemy do dobrobytu i starczy miejsca i pracy wszystkim w państwie.

S. 10 stycznia 1936.

*) Nazwisko symbolizuje tu większych posiadaczy ziemskich. Red.

Lp. 3

Gospodarz na 4,4 ha

z pow. rówieńskiego.

Urodziłem się w kolonii M.-K. w powiecie rówieńskim — z ojca Franciszka i matki Kamilli z B., w dniu 10 października 1895 r. Ojciec mój trudnił się rolnictwem na 3 dziesięcinach dzierżawionej z dużego majątku ziemi. Poza tym zarabkował w olbrzymich na owe czasy lasach wołyńskich w charakterze belkarza i wywoził w razie potrzeby kłody wołami.

Wioska nasza według opowiadań starych ludzi została założona w 1829 r. przez Urbanowicza i dziada mego Kajetana Grochowskiego, którzy tu przybyli jako potasznicy, tzn. palacze popiołu, do ogromnych w owe czasy lasów. Dokąd ten popiół wywożono i na jakie potrzeby, tego się nie dowiedziałem. Obecnie kolonia nasza liczy 34 gospodarstw rolnych i przeszło 200 ha gruntów, przeważnie łąk i pastwisk.

Było nas dziesięcioro dzieci u mych rodziców; czworo zmarło, a sześćoro wychowało się — czterech braci i dwie siostry. Stan materialny ojca był dość ciężki, a matka nasza zawsze oszczędzała na jedzeniu, więc nie dojadaliśmy, byliśmy niemal stale głodni, zwłaszcza na przednówku.

Samodzielność w dzieciństwie.

Samodzielność życiową rozpocząłem od 5-go roku życia, kiedy mi matka dała do rozwiązania węzelek z wysuszonej mej własnej pępowiny, którą matka od mego urodzenia przechowała, celem wykonania przeze mnie wymienionej czynności, a to dlatego, abym miał „rozwiązaną dobrze pamięć do nauki i mądrości“.

Drugim etapem „samodzielności“ był obowiązek pasania gęsi i walki z gęsiorem, który mnie nieraz dobrze sprzął dziobem i skrzydłami; w dodatku matka zawsze jeszcze „dodała“ mi wówczas, jeśli zwycięzcą był gęsior. Ubiór mój składał się latem i zimą z jednych płóciennych spodenek i koszuli, oraz od „zimna“ bluzy kortowej. To pasanie było jednak lepsze od zimowego zapiecka, bo dawało mi więcej „samodzielności“ i mogłem się „pożywić“; jadłem dowoli szczaw, a w sezonie jagody no i... wypijałem niezasiedzone jajka ptasie, wyciągane z gniazd, które mogłem osiągnąć.

Od 6-ciu lat miałem bardzo „ciężkie“ trzy zimy, gdyż postanowiono mnie uczyć czytać na książce modlitewnej i to uczyć od rana do wieczora, pisałem zaś gryflem na małej kamiennej tablicy, bo to tanio kosztowało. Wieczorem musiałem w głos odmawiać długie pacierz, co mnie strasznie męczyło i nudziło. Kiedy skarżyłem się matce, że „już nie mogę“, to wówczas pocieszała mnie tymi słowami: „staraj się, to pojedziemy na św. Józefa na odpust do kościoła i ty pojedziesz tam — kupimy ci całego śledzia“. Ta obietnica zaraz zdejmowała ze mnie przemęczenie, a jak matka dodawała jeszcze: „kupię ci czapkę“, to już byłem w siódmym niebie.

Następnym etapem „samodzielności“ było podwyższenie mi funkcji po dwóch latach pasania gęsi. Zostałem mianowany pastuchem świń, które trzeba było gonić hen za wieś do lasu i pilnować, ażeby się nie zgubiły. Świnie poleskie nie spieszą się na noc do domu, bo wiedzą dobrze, że tam im jeść nie dadzą, ale nocowanie ich w lesie było niebezpieczne, gdyż często były napadane przez wilka. Małym prosiaczkom na drugi dzień po ich urodzeniu musiałem zębami swoimi odkąsywać koniuszki ogonków i tą ranką leciutko postukać trzy razy w chlewną ścianę, a to dlatego, żeby one „w czasie, kiedy dorosną, nie miały dużych kłów“. Kiedy mi palce u nóg gniły, gdyż latem chodziłem boso po rosie i kałużach, to mi kazano nogi maczać w ten mocz, gdzie się świeżo maciora wymoczy, gdyż to „ma być pomocne jako lekarstwo na parzenie się palców“.

Te trudy jednak były mi hojnie wynagradzane, bo ojciec w jesieni kupował mi sztuczną barankową czapeczkę i lichą sukmankę z tych pieniędzy, które otrzymywał ze sprzedaży wieprzka. Zawsze po otrzymaniu takiej nagrody z radości nie mogłem kilka nocy spać,

apetyt do jedzenia uciekał też, bo byłem przejęty tą myślą, ażeby mi ktoś w nocy, kiedy usnę, nie wlaźł oknem do mieszkania i nie skradł moich ubiorów.

W dziesiątym roku mego życia przeniesiono mnie z funkcji pasania świń na stanowisko pastucha bydła. Ojciec mój wówczas porzucił dzierzawioną ziemię i przeniósł się o 1/2 kilometra do sąsiedniego majątku, gdzie ze zrębów leśnych sprzedawała się ziemia, której zakupił 20 mórg po 55 rubli za morgę, ale, że miał tyle gotowizny, że mógł zapłacić jako zadatku po 10 rubli z morgi, dlatego musiał się starać o pożyczkę w rosyjskim Banku Włościańskim.

Życie moje wówczas stało się bardzo pracowite. Ojciec, mając swego bydła po 6 do 8 sztuk, brał jeszcze od Żydów po 4 do 7 sztuk na wypas i ja to musiałem paść po lesie i gęstwinie. Często się było gubiło, za co znowu dostawałem lanie. Wstawać musiałem o trzeciej rano do tego bydelka. Obuwie sam sobie robiłem z łyka łozowego, a wiązadła z włosów ogona bydłęcego, lecz czułem się na łonie przyrody leśnej dość wesoło. Bydło się pasło w lasach obszarnicznych za opłatą po 2 ruble od krowy za całe lato.

Przesady i obyczaje.

W razie choroby jakiegoś bydłęcia leczono je różnymi sposobami. Jeżeli bydłę moczyło krwią, musiałem dopilnować i w to miejsce, gdzie się wymoczyło, zatknąć wystrugany z surowej osiki patyczek i nakryć ten mocz starym łapciem. Jeżeli bydłęciu gniły nogi pomiędzy racicami od moczu, to przeciągało się te rany sznurem włosianym. Jeżeli u krowy po wycieleniu nie odeszło łożysko, wówczas należało ugotować plecionkę słomianą, w którą przedtem była wplatana cebula i tą wodą poiło się krowę, a jednocześnie przywiązywano do wystającego na zewnątrz łożyska starą zdartą miotłę wraz ze starym, wyrzuconym pantoflem. A jeżeli który bydlak miał wygląd mizerny, to powszechnie mniemano, że „ma robaki w języku“. Wówczas byli już od tego we wsi „weterynarze“, którzy starą stołową łyżką żelazną drapali język bydłęciu do krwi i nacierali preparatem składającym się z dziegciu, czosnku i soli. Wzdęcie czy niestrawność bydłęcia leczyło się urżnięciem mu ucha i puszczaniem krwi tamtędy przy jednoczesnym trzepaniu patyczkiem osikowym po urżniętym uchu.

Wszystkie inne choroby leczyło się zadaniem jednego śledzia i zamówieniem-odczynieniem uroku.

Były dość częste wypadki, że „ciągnęło się“ mleko (ciągliwe się zrobi jak kłajster i wówczas jest brzydkie). Leczyło się wówczas zwierzę w ten sposób: klękało się koło proga, trzymając w lewej ręce okraweczek chleba z pierwszego bochenka, jaki był do pieca wsadzony przy pieczeniu; rozszpilało się¹⁾ sobie pas na biodrach i prawą ręką brało się na koniec noża stołowego trzy razy po szczypeczce ziemi przez próg, podawało się ją sobie pod spodem koszuli przez pazuchę na zewnątrz i kładło się ją na ten chleb; dodawało się jeszcze szczyptę soli i łyżkę ciągliwego mleka i dawało się każdej krowie zjeść. Jednocześnie brało się 2 łyżki tego mleka na stary wydeptany łapć i wlokło się szureczkiem do cudzej miedzy, potem się rzucało jak najdalej za miedzę i, do nikogo nie mówiąc słowa, szło się do domu. Czynności te robiło się po zachodzie słońca.

W południe musiałem pomagać matce niszczyć chwasty, z którymi walka była prowadzona w bardzo nieumiejętny sposób, to też było ich coraz więcej. To znowu brał mnie ojciec z sobą lo pomocy przy karczowaniu działki na zrębach leśnych, a w sezonie wrzała gorączkowa praca przy zbieraniu jagód: poziomek, czernic²⁾, malin i innych, które się sprzedawało w stałym łagrze³⁾ stacjonowanych wojsk rosyjskich dla rodzin oficerskich. Za te pieniądze kupowaliśmy chleb i kaszę.

Działkę naszą po zrębach strasznie opanowały chwasty „bodiaki“, to znaczy osty różnych gatunków, które się rozmnożyły w zastraszający sposób. Wszyscy mieliśmy ręce i nogi pokaleczone przez osty, w narywach i wrzodach. Ojciec wobec tego stał bezradny, żadne wysiłki walki z nimi nie pomagały. Już chciał sprzedać tę ziemię, lecz matka sprzeciwiła się temu. Walkę z ostami prowadzono w ten sposób: święcono jeden oset w wianuszkach z ziółek na Matkę Boską Zielną w kościele i po przyjeździe do domu sadzono ten sam oset na tym samym miejscu, gdzie go wyrwano, lecz wierzchołkiem do ziemi a korzonkiem w górę, co miało sprawić, że wszystkie osty na rok

¹⁾ Rozpinało się. Red.

²⁾ Czarne jagody. Red.

³⁾ Obóz wojskowy. Red.

przyszły powinny były zginać. Lecz z przyjściem następnego lata było ich coraz więcej. Wprawdzie wyrywano je i przycinano, lecz cóż z tego, kiedy ich ogromne ilości wszędzie po polach, około pni drzewnych, w rowach i przy drogach dojrzewały, wydając miliardy nasion, które wiatr w jesieni roznosił całymi chmurami. To też wskutek złej uprawy i wprost potwornego zachwaszczenia ziemia dawała urodzaje bardzo liche, nakład pracy był ogromny, a zysk marny. Cierpieliśmy nędzę którą z całym spokojem sumienia znosiliśmy bez szemrania, gdyż matka nam tłumaczyła, że „tak Bóg daje i On tak chce, to i tak być musi, dziękować Mu należy i za to“. Całe szczęście, że na kupionej 20-to morgowej działce większą część stanowiła bardzo dobra dwukośna łąka, dająca możliwość utrzymania około 8 sztuk bydła, ze sprzedaży którego wypłacało się nabytą ziemię, dochodowywało się młody „przychówek“ i tak w kółko. Gospodarstwo ojca w owym czasie można byłoby nazwać gospodarstwem hodowlanym, gdyby nie ogromne błędy czynione w tej „hodowli“, które tylko matka natura sama przez się łagodziła i leczyła.

Życie nasze było ciężkie. Ojciec zimową porą stale szedł lub jechał na zarobki leśne, które mu dawały tyle zysku, że nie mógł skończyć z głodu wraz z całą rodziną. Matka przędła z córkami len i konopie na bieliznę, worki, prześcieradła i ubrania. Ja w zimowej porze, jako najstarszy z braci, musiałem żywić bydło, rąbać drzewo, a przy tym jeszcze uczyć się pisać i rachować, „żeby żyd potem nie mógł mnie oszukać“, a w dobawek*) już uczyłem się po rosyjsku czytać i pisać — bo do tego namawiała władza rosyjska przez swoją policję.

Ubranie moje zimowe składało się z obuwia z łyka łozowego, które w każdym tygodniu trzeba było pleść nowe z podwójnych spodni płóciennych i lichego sukmanka. Pamiętam, pewnego razu zimą miałem na sobie stare spodnie płócienne, kilkakrotnie łatane i mocno dziurawe, od których zwisały rozmaite rąbki i nici; stałem przy piecu ogrzewalnym i grzałem t.... i zapaliły się na mnie te rajtuzy płomieniem. Ja w krzyk — matka się zerwała i do mnie, bijąc mnie dłonią po t.... I tak, razem gasiła, biła i karała za moją nieostrożność.

*) W dodatku. Red.

Początek rozwoju ducha narodowego.

W 16 roku mego życia, a był to rok 1911, ojciec mój i wszyscy inni sąsiedzi z całej wsi zakupili znaczną część majątku ziemskiego wraz z młodym 20-letnim lasem dla zamiany tych terenów na użytki rolne i łąkowe, bo wówczas było już po rewolucji rosyjskiej i japońskiej wojnie. Polakom popuszczono trochę pętli politycznej i już mogli kupować ziemię bez przestrzegania uprzedniego „w osiem procentów rymokatolików na dziewiętnoście dwa prawosławnych pokupczyków ziemi” *). Bank Włociański udzielił pożyczki hipotecznej, to też ojciec dokupił jeszcze 7 dziesięcin ziemi, którą przeznaczył w większości na pastwiska.

Życie od tego czasu we wsi zaczęło się pomału odmieniać, bardzo powolutku, ale już pewien ferment można było zauważyć. Ludzie zetknęli się z urzędami, bankami, ziemstwami, gubernatorami, *sprawnikami, mirowymi pośrednikami*, policją itd., każdy musiał się zaznajomić z odnośnymi prawami o kupnie ziemi, „*Razreszeniami*“, kredytami, własnych pochodzeniem — czy czasem który nabywca nie jest „*wychodiec Carstwa Polskarwo*“, a może jego ojciec był „*awstryjskiej poddany*“, albo „*germański*“. Na tym tle wciąż odbywały się zebrania, oczywiście latem na przyźbie domowej, a w chłody w izbach na ławach, na których wrzała praca „*naukowa*“. Opowiadano sobie wzajemnie o pochodzeniu tutejszego elementu polskiego, o jego tytułach szlacheckich, o kupnie ziemi. Ostrzegano się wzajemnie, straszono się, że z tego kupna nic nie wyjdzie, bo to jest straszne oszustwo. Niektórzy znowu starali się przekonywać, że „nie potrzeba kupować ziemi wcale, bo niebawem przyjdzie taki czas, że ziemię tą darmo dostaniemy i będzie nasza“.

Niektórzy zaprenumerowali gazetki rosyjskie i ci, oczywiście, jako uczeni i „*biegle*“ czytający wykładali na swój sposób przyszłość i teraźniejszość. W ostatku tej fermentacji wyklarował się element w naszej czysto polskiej wiosce, że tak powiem, specyficzny gatunek polaka-szlachica. Każdy siebie tak nazywał, choć nim nie każdy był.

*) Osiem procent rzymsko - katolików na dziewięćdziesiąt dwa prawosławnych nabywców ziemi. — Red.

Przyszłości Polski nikt nie rozumiał i nikt o tym nie myślał. O upadku Polski opowiadano, jako — koniecznej sprawiedliwości i karze Bożej na „panów“ polskich za to, że męczyli lud, a jednocześnie sami ten lud nazywali hadami, mówiąc: „*Muzyk**) bez bata nie może być rządzonym“.

Wielu z gospodarzy kupując kalendarze literacko-naukowe, podsunęte przez księży katolickich, uczyło się po trochu lepszych sposobów gospodarowania, a przy tym stopniowo zaczęły się przejawiać przebliski poczucia narodowego polskiego i religijno katolickiego. Te dwa pojęcia zlały się w jedno — co katolik, to i Polak, a co Polak, to i katolik.

W roku 1912 i 13, nie wiadomo skąd to się wzięło, pomiędzy elementem polskim zaczęło się rozpowszechniać mniemanie, że Polska jeszcze będzie, że Niemcom jeszcze będziemy dawać w skórę itp.

I... przyszedł lipiec 1914 roku!!!

Pamiętam, jak szliśmy z kościoła z Tuczyna do domu i w polu wyminął nas żołnierz rosyjski, pędzący co koń wyciągnie w kierunku Kostopola ze skrzywioną strasznie fizjonomią. Tknęło nas wszystkich przecucie bardzo niedobre. Po przybyciu do domu dowiedzieliśmy się o wszystkim.

I zgasła iskierka kultury rolnej i narodowej, która jeszcze tak słabo tliła. Zalana została krwią ludzką, przyduszona ręką pożogi wojennej. Przez cały rok czytywałem gorączkowo gazety, śledząc przebieg walk i sukcesów, aż w 1915 roku powołano i mnie pod broń.

Przez cały czas wojny wieś wytwarzała mało, bojąc się kwitów i rekwizycji, nie będąc pewna jutra.

Gdy powróciłem w 1918 roku z wojny, zastałem wieś w strasznym zaniedbaniu i opuszczeniu, ludzi wystraszonych i ogłupiałych, kłamliwych i zepsutych. Próbowałem mocno oprzeć się tej atmosferze, zmienić to na lepsze, bo zjeździłem kawał świata, przyjrzałem się życiu ludzkiemu, nauczyłem się odróżniać dobre od złego, pożyteczne od szkodliwego, lecz po krótkim czasie musiałem ustąpić bezradny, zmęczony, rozgoryczony. A po roku tj. w 1919 roku już sam byłem złym człowiekiem, ba! może gorszym jeszcze od innych, gdyż

*) Chłop. Red.

czytałem dużo, wiedziałem więcej od innych, to tym samym umiałem sam zrobić więcej złego i innym dać zły przykład. Przestałem szanować cudzą własność, brałem sam budulec z lasów państwowych rosyjskich i prywatnych, pasalem za darmo bydło w tych lasach, namawiając innych do tego samego. A ponieważ zmieniały się bardzo często rozmaite władze, to też ludzie zupełnie stracili wiarę w możliwość zaprowadzenia jakiegokolwiek ładu i porządku, każdy starał się sam siebie zabezpieczyć ściągając rozmaite karabiny i naboje, o które wówczas było bardzo łatwo.

Zorganizowałem wówczas swego rodzaju samoobronę w ten sposób, że w razie jakiegoś niebezpieczeństwa — a te zdarzały się bardzo często, — zaraz wszystkie konie i wozy szły do lasu, w gąszcz. Pilnowało je kilku chłopców uzbrojonych w karabiny i granaty. Tak samo również robiono z bydłem. Reszta mężczyzn pilnowała domostw i rodzin.

Po pewnym czasie zaczęły krążyć pogłoski, że polskie wojska posuwają się na wschód. Nie dawano z początku wiary w możliwość tego, lecz niebawem ujrzeliśmy śliczne niebieskie mundury i rogatywki. Od razu psychika mych sąsiadów się zmieniła! na widok cudu... Starzy płakali jak dzieci z radości... Polska idzie!!!... Ta Polska, o której starcy opowiadali, jak się zmagala w powstaniach, jak została rozdarta... jakie prześladowania cierpiał naród... Do tego bardzo dużo pomogła literatura „Straży Kresowej“. Polska zaczęła się odtwarzać w duszach naszych jakby z filmu na ekranie. Lecz nie wiedzieliśmy, co w tej chwili mamy robić. Radość była tak wielka, opowiadań, wniosków, przewidywań było tak wiele, że ludzie stanęli w tym przekonaniu, że już wszystko zrobione, już więcej nic nie trzeba.

Bo i wprawdzie do wojska nas nikt nie werbował, nie namawiał, nie zachęcał, same zaś wojsko trzymało się od cywilów z dala, lecz bardzo przykładowie, więc nic dziwnego, żeśmy wyobrażali sobie, że to już po całym utrapieniu. Raj na ziemi dla nas zapanował.

P o c z ą t e k p r a c y s p o ł e c z n e j .

Żyjąc za plecami żołnierza polskiego, niedaleko od frontu i mając możliwość spokojnie pracować, zacząłem wiele czytać i uczyć się geografii Polski i Europy, historii Polski, historii dziejów starożytnych.

rolnictwa, postępu techniki itd. Było to wszystko bardzo chaotycznie brane i przerabiane, lecz dawało jednak pewne pojęcie, a co najważniejsze, nauczyłem się po trochu segregować swoją „naukę“, nabrałem dużej chęci do książki i pracy, którą dawniej traktowałem jako duże i konieczne zło.

Zacząłem się przypatrywać mej wiosce i temu, czego jej i ludziom brakowało. Otóż najpierw zobaczyłem, że połowa ludzi to analfabeci, a druga połowa uczy się na książkach do modlitwy. Dalej zobaczyłem nadmierny egoizm. Złe pojęcie o Bogu i religii, no i w parze z tym przedpotopowy sposób gospodarowania. Chciałem to zaraz wszystko od razu zmienić i to w sposób gwałtowny i szybki, lecz tym zepsułem sobie całą robotę.

Zabrałem się do zwalczania picia wódki wśród młodzieży na zabawach i tańcach, wykorzenia bójek i innych orgii. Na początku osiągnąłem to w całości, lecz po krótkim czasie ci, co wódkę robili, zaczęli mnie zwalczać i znów przywrócili poprzedni porządek rzeczy. Lecz jako dorobek kilku kawalerów zostało przy moich przekonaniach i ci już mi się starali nadal we wszystkim pomagać.

Wiosną 1920 roku zainicjowałem poprawienie drogi przez wieś i osypanie jej powierzchni z wykopaniem obustronnie rowów. Grunta nasze położone są na granicy wyżyny wołyńskiej a mokradłami Polesia — są równinne i podmokłe, to też droga nasza w czasie pory mokrej była absolutnie nie do przebycia; swoi objeżdżali łąkami, a obcy, nie znając tego „sekretu“, topili w błocie konie i wozy.

Gdy myśl swoją opowiedziałem sąsiadom, zaraz wyłoniły się dwa stronnictwa: młodzi za mną, a starsi przeciw i to w sposób bardzo ostry i zdecydowany. Musiałem przez parę tygodni perswadować im w pojedynkę, że w świecie widziałem inaczej, że to przecież dla własnego dobra. Częściowo mi się udało. Przekonałem większość opozycjonistów, a kilku nieprzejednanym zagroziłem z kolegami: jeżeli nie wyjdą w pierwszym dniu zbiórki ze szpadlami do pracy, to dostaną po 10 kijów. To poskutkowało. Drogę poprawiliśmy.

Jednocześnie przyszło mi na myśl urządzić własną orkiestrę, gdyż sam od lat już 12-tu rzępoliłem jako tako na skrzypcach. Porozumiałem się z kolegą, który grajkował na klarncie i on podzielił moją inicjatywę, ja zaraz kupiłem sobie puzon, dla brata swego klarinet, a kolega dla swego brata też kupił kornet i dla siebie lepszy klarinet. Ba-

raban (bęben) zrobiliśmy sami i już mieliśmy jaki taki zespół. Zaczęliśmy się uczyć grać „na słuch“, gdyż nut nie było komu uczyć. Była to nauka dość trudna i męcząca, lecz nie ustawaliśmy. Na początku to taki był „miły“ dźwięk, jakby kto dwa tuziny kotów za ogony kręcił, lecz niebawem już graliśmy możliwie choć tylko ze słuchu. Jaś o nas rozeszła się wieść po całej okolicy, jako o pierwszej w powiecie wiejskiej orkiestrze dętej, gdyż dotąd tylko w Równem były orkiestry dęte, to w sąsiedniej wiosce K., oddalonej o 6 kilometrów, znalazł się dobry muzyk, który dłuższe lata grał w orkiestrze wojskowej i ten dopiero wziął na w robotę, ucząc nut i teorii muzycznej. Po krótkim czasie uzupełniliśmy swój zespół basem, altem i barytonem i zaczęliśmy wypierać z okolicy obyczajową muzykę — skrzypce z bębenkiem.

Znowu cios bardzo bolesny! Odwrót wojsk polskich z pod Kiowa! Ogólna rozpacz, przygnębienie, płacz, no i obawa upaństwowienia wszystkiego, co nasze. Przyszli „czerwoni“, dowiedzieli się, że orkiestra nasza urządzała zbiórki (kwestę) na Żołnierza Polskiego. Wzięto mnie na „dopros“ *). Musiałem kłamać, że to było co innego i uwierzono mi mi częściowo, ale za karę musieliśmy kilka nocy grać dla tej czerni darmo. Jeszcze chcieli nas zabrać ze sobą, aby mieć orkiestrę dla triumfalnych wchodów do zdobytych miast polskich, lecz zacząłem prosić dowódcy, aby nas zostawił, a że prawdopodobnie był z pochodzenia burżujem, więc zgodził się.

Lato przeszło w udręce i niepewności, ale potem cud...! Śniadanie jadłem... widzę leci kawaleria polska!!! Czerwoni — uciekają... I znowu tygodnie entuzjazmu, a potem praca codzienna...

Zaczęłem namawiać innych, aby zmienić dotychczasowy system domostw naszych, które były ciasne, ciemne, wilgotne, brudne i zawężone, a często i zapluskwione. Sam dałem przykład, przystępując do budowy domu o trzech pokojach z kuchnią, spiżarnią i sienią, dając podłogę i duże okna. Za moim przykładem poszli niektórzy sąsiedzi, a zwłaszcza ci, którzy mieli stare budy i po dwu latach zmienił się znacznie wygląd wsi. Wielkość była domów nowych, widnych, na podłogach. Ale byli i tacy, co zostali po staremu w brudach i błocie; nie chciało im się budować bo „za drogo wynosi“, a las był wówczas bardzo tani i dostawa bliźniętka.

*) Badanie. Red.

Po tym zabrałem się do wyplenienia złych obyczajów: plotkarstwa, swarów, prześmiewisk, poruszania cudzych rzeczy. Lecz na starszym społeczeństwie znowu „połamałem sobie zęby“. Co — powiadają — młokos' nas będzie uczył rozumu?

K o ł o m ł o d z i e ż y .

Przekonałem się, że ze starymi nie dam sobie łatwo rady, to też wziąłem się do młodych. Z wiosną 1921 roku z inicjatywy kolegi A. H. założyliśmy koło młodzieży wiejskiej. Mając w swoim ręku „lejce“ w postaci orkiestry, zacząłem werbować młodzież, która poszła jak na lep i w kilka miesięcy mieliśmy 53 członków. Nie lada zadanie miał zarząd, którego ja byłem prezesem. Chodziło o to, jak zadowolnić, zatrudnić, opanować i poprowadzić w kierunku kulturalnym i oświatowym tę młodzież, większość której to byli analfabeci i pół-analfabeci.

Nawiązaliśmy kontakt z Centralnym Związkiem Młodzieży Wiejskiej w Warszawie i stamtąd mieliśmy wskazówki dotyczące prowadzenia pracy. Zaczęliśmy wypisywać gazety: „Siew“, „Wyzwolenie“, „Piast“ i „Poradnik gospodarski“. Na początku, dopóki we wszystkich palił się nasz wsiowy słomiany ogień, praca biła żywym tętnem. Urządzaliśmy często przedstawienia, dobierając sztuki czy dramaty o charakterze patriotycznym i wychowawczo-narodowym. Trzeci Maj rok rocznie obchodziliśmy uroczystie i imponująco. Powstanie Styczniowe i Listopadowe stale obchodziliśmy, ogólnym zebraniem z licznie przybyłymi gośćmi, w skupieniu ducha śpiewaliśmy Rotę, potem czytało się dzieje nieszczęść i upadku Polski, rozpaczliwe zmaganie się powstańców — pamięć ich czczono minutowym powstaniem i milczeniem. Chwile te były najdonioślejsze w moim życiu... gdyż widziałem u wszystkich łzy. Wielu szlochalo w głos. Ale zwykle po tych uroczystych wieczorach na cały rok wielu uczestników znowu zapomniało, że są Polakami.

W roku 1920 i 1921 w dniu 19 marca urządzaliśmy imponujący pochód ze sztandarami, dziatwą szkolną, młodzieżą i licznie zebrany z okolicy ludźmi i orkiestrą do kościoła parafialnego, gdzie przypada odpust św. Józefa; my zaś jednocześnie obchodziliśmy imieniny naszego, nieodżałowanej pamięci Wodza i Wskrzesiciela, Marszałka Józefa Piłsudskiego. Przed kościołem wygłaszałem okolicznościowe przemówienia, entuzjazm był wielki, a nastrój u parafian uroczysty.

Lecz po dwu latach sentyment nasz zupełnie osłabł, partie polityczne siały złe ziarno tu na kresach, a to kielkowało w naszych bardzo ograniczonych zdolnościach myślenia i orientacji i wydawało zły owoc.

Trzeci Maj przez pięć lat obchodziliśmy, że tak powiem, najuroczyściej. Uprzednio porozumiewaliśmy się z inteligencją m. Kostopola, (Kostopol jeszcze wówczas nie był miastem powiatowym). Wyruszaaliśmy z naszej wioski z liczną banderą włościańską w strojnych czapkach krakowskich, z orkiestrą, dużym tłumem ludności okolicznej, rozpoczynając pieśnią: „Boże coś Polskę“. Jedną zwrotkę graliśmy, a drugą ludność śpiewała. W polu graliśmy mazurki i marsze, a przy wchodzeniu do miasta ustawialiśmy pochód czwórkami. Sztandar związkowy na przodzie, za nim banderia, dalej orkiestra i ludzie. Graliśmy, jak wyżej, i śpiewaliśmy. W mieście zwykle odprawiał ksiądz uroczystą mszę polową na placu, podczas której przygrywała orkiestra, a po mszy przemawiałem z trybuny, być może jako pierwszy w dziejach naszych chłopów, do zebranej bardzo licznie, mieszanej narodowościowo, ludności kresowej. Czułem się wówczas bardzo szczęśliwym, że w mej osobie przemawia wołyński Polak, w dniu takim jak 3-ci Maj, tu hen! — na Kresach w imponującą uroczystość.

Po przybyciu do domu urządzaliśmy za każdym razem w dużej sąsiedniej stodole przedstawienie i tańce dla ludności za opłatą za wstęp; bawiono się zawsze mile, grzecznie, bez wódki i awatur, szanując uroczystość 3-go Maja.

Za zebrane pieniądze kupiliśmy w Warszawie bibliotekę składającą się z 360 tomów książek i broszur o treści historycznej, naukowej, patriotyczno-obywatelskiej, powieściowej itd. Lecz z tą biblioteką gorzej nam potem wyszło, mało kto ją czytał. Jedni nie umieli, drudzy słabo umieli, a innym nie chciało się (rosyjski wstręt do książki). Ale ona jednak wydała swój dobry, chociaż w maleńkiej mierze, owoc, bo kilka jednostek, zabrawszy się dobrze do czytania i nauki, zdobyło potem sobie wyższy szczebel drabiny społecznej i niektóre z nich przyczyniły się do podniesienia poziomu swej wsi.

Zabrałem się obok innych prac od roku 1920 do wykorzenia złych przesądów, dzikich i często barbarzyńskich zabobonów. Pracę społeczną zwróciłem w kierunku urobienia psychiki młodzieży związkowej. Na zebraniach członków koła młodzieży urządzałem odczyty i referaty w sprawie podniesienia naszej wsi w kierunku postępu wie-

dzy rolniczej. Zebrania urządzałem co dwa tygodnie zimą, a raz w miesiącu latem. Na zebraniach miewałem odczyty z dziedziny: odwodnienia, mechanicznej uprawy roli, sadownictwa, warzywnictwa, hodowli, weterynarii, estetyki budowli i obejść gospodarskich, oraz zwalczania chorób i szkodników roślin i zwierząt. Dziewczętom tłumaczyłem, że zamiast rozmaitych czarów, często bardzo brzydkich, robionych w kierunku takiego czy innego chłopaka, jeżeli nie chce kochać, lepiej jest urządzać czyściutko i ładniutko swe mieszkanie ogródek zasiać kwiatami, często się wmyć, schludnie się ubrać, i postarać się, żeby we włosach na głowie nie było gnid, to prędzej kawaler pokocha. Pomocne tu będzie, jeżeli taka dziewczyna będzie więcej czytać, poprawnie mówić i umiejętnie pracować w gospodarstwie.

Odczyty moje i dowodzenia wśród starszych nie znalazły zrozumienia i posłuchu. Niektórzy nawet mniemali, że mój rozum postradał częściowo od tych książek, a inni uważali zmianę za niemożliwą i nieosiągalną. Byli i tacy, co twierdzili, że te nowele rozmaite sprzeczne są z prawem Bożym.

Po pewnym czasie przekonałem się, że i tu robiłem duży błąd, bo naraz wszystkiego za dużo naczytałem i namówiłem, a wszystko teoretycznie, to też moi słuchacze mało zrozumieli. Odczułem potrzebę powrotu do rzeczy namacalnych, tak jak to było uprzednio zrobione z budowaniem domostw mieszkalnych.

Prace gospodarcze.

W roku 1922 podjąłem inicjatywę przekopania dwukilometrowej długości rowu przez grunta naszej wsi w miejscu, gdzie się zbierały wody podczas większych opadów i topniejących śniegów tworząc szeroko rozlany po łąkach potoczek. Niełatwo mi z tym poszło, gdyż ci, co przez ich grunta miał rów ten przechodzić, przyjęli mą myśl z uznaniem, a ci, co ich rów bezpośrednio pomijał, lecz pośrednio był im też potrzebny, bo dawał możliwość odprowadzenia wody mniejszymi rowami z innych pól, nie chcieli dawać pieniędzy na opłacenie robocizny. Powstały dwa obozy. Do opozycji przyłączyli się nawet niektórzy ze stronnictwa aktywnego. Po długich tarcjach i kłótniach przystąpiono jednak do kopania rowu. Niektórzy z tych, przez których grunta rów nie przeszedł, zgodzili się dać składkę, niektórzy jednak nie dali. Gdy rów został przekopany, wszyscy wówczas zrozumieli, że rowy są nieodzowną koniecznością dla naszych gruntów i od-

tań zaczęto kopać więcej rowów, oczywista każdy na swoim polu, doprowadzając do centralnego rowu swe wody.

Nieodzowną też koniecznością była potrzeba uświadomienia ludzi, żeby przestali w barbarzyński sposób leczyć zwierzęta domowe. Mianowicie, gdy bydlak nie jadł i był anemiczny, brano starą ostrą łyżkę blaszaną lub jaką inną ostrą skrobaczkę i skrobano język do krwi, potem nacierano czosnkiem z solą dlatego, że „tam są robaki w języku, ino im czarne tyłki widać, tak psiajuchy głęboko siedzą, to trzeba ich zniszczyć, a bydlak będzie jadł“. Musiałem przekonywać, że te czarne plamki niby mak, to nie są robaczki, a bydlak dlatego nie je i jest chudy, że nie ma w żołądku kwasów solnych i potrzeba mu sól dawać, a jeżeli liże twarde przedmioty jak szkło, żelazo, tynk — to dawać kredę i otręby, marchew.

Zaczęłam ratować obzarte bydłeta i konie zadając rycynę, olej, serwatkę i odwar kory kruszynowej z robieniem lewatyw i rozcieraniem brzucha wiechciami z terpentyną. A przed tym innego sposobu nie znano, jak przeciąganie trzy razy zwierzęciu przez grzbiet po pod brzuchem starymi płóciennymi spodniami, a potem goniono i goniono zwierzę. To też najczęściej takie leki kończyły się bardzo bolesną śmiercią zwierzęcia. Taki wypadek był tłumaczony, że „tak chciał Bóg“.

Bydłętom racicowym, jak już uprzednio wspominałem, przy każdej chorobie puszczano krew, a inni na wiosnę swoim wychudzonym bydłętom w ogóle puszczały krew, „by się prędzej poprawiły“.

Gdy konie, jedząc żytnią siewkę z ościami dostawały tak zwane „flustu“, to znaczy obrzęku dziąseł, bo poza zęby ponabijały się plewy żytnie, to zamiast szczoteczką oczyścić i wyjodynować, leczono je w ten sposób: specjaliści po temu „lekarze“ mieli takie dółki, zwane puszczałkami i po rozwarciu koniowi pyska, tuż za zębami przebijali dwa lub trzy otwory w podniebieniu, głębokich na długość ostrza, żeby poszła krew. To się zwie „sprawianiem nososów“. Po upuszczeniu tej krwi koń ma być uleczony. To barbarzyństwo, bardzo powszechnie i często stosowane, było mi najtrudniej zwalczyć, ale argumentem posłużyły mi wypadki kończące się śmiercią lub głęboko gnijącymi, trudno uleczalnymi ranami. Były wypadki, że taki „lekarz“ trafił puszczałką na arterię i nie mógł zatamować krwi, a jak ją zatamował, pchając do rany tartę na mąkę węgiel drzewny, to potem bywało zakażenie krwi, a jak cudem i to ominęło, to pozostawała trudno gojąca się, ropiejąca rana.

Dopiero po kilku zabiegach, jakie ja stosowałem w postaci oczyszczenia i wyjodynowania pyska, które okazały się bardzo skuteczne, mogłem walczyć z metodą sprawiania nososów, bo miałem za sobą tych, co potwierdzali.

Następnie zwykle tak było, że nieprawidłowe porody u zwierząt, lub wyciowanie macicy kończyły się śmiercią zwierzęcia, albo Żyd zabierał za 15 lub 20 zł krowinę, odprowadzany powszechnym płaczem poszkodowanej rodziny i współczujących sąsiadek. Ile przedtem to nieszczęśliwe zwierzę musiało przenieść bólu i bezskutecznych „leków“, to czytelnik sam zrozumie. Zaczęłam stosować w możliwych wypadkach pomoce porodowe u zwierząt, a w bardzo skomplikowanych namówiłem do wezwania lekarza, co oczywiście nie było łatwe, bo po lekarza trzeba było jechać 13 kilometrów i trzeba go było odwieźć, ale miało ten dobry skutek, że ludzie zaczęli się przyzwyczajać do lekarza i więcej wierzyć w postępy weterynarii i w ogóle nauki.

Wyciowanie macicy tak się leczyło: przychodzi babka, „akuszka“ z niewymytych rękami, opłukuje wypadniętą macicę u krowy, obsypuje ją łupiną prosianą (odpady przy robieniu jagiel), która jest niezmiernie szorstka i drażniąca i — i wpycha z powrotem do środka. Wywołuje to oczysta silne podrażnienie, a zatem i dęcie i macica z powrotem wypada, a wówczas Żyd zabiera bydłę za ile chce i... po leczeniu. Jak się bydlak zakrztusi kartoflami, to się mu kładło z jednej strony przelyku deskę, a z drugiej uderzało się polanem po przelyku w to miejsce, gdzie znajdował się ziemniak i rozbijało się go, ale zarazem i przelyk też. Znowu tu pokazałem, jak się ziemniak taki wydostaje.

Więcej sposobów leczenia nie będę opisywał, żeby nie nudzić czytelnika, a przejdę do innego tematu.

Orkiestra nasza, jako jedyna w okolicy, była często zamawiana do grania na weselach, to też zarabiałem, bawiłem się z ludźmi, poznawałem obyczaje ruskich chłopów, które w wielu wypadkach były mi dotąd nieznanne, chociaż tak blisko obok siebie żyjemy. W roku 1922 ożeniłem się z bardzo miłą wdówką i czułem się szczęśliwy. Po dwóch latach pożycia małżeńskiego urodził nam się drugi syn, ale kaleka, z wykrzywionymi do środka zniekształconymi stopami. Jak to zobaczyłem, opuściła mnie równowaga, darłem ziemię pazurami jak ranny zwierzę. Po pewnym czasie pogodziłem się z losem, ale żona moja popadła w rostrój nerwowy, musiałem leczyć żonę przez półto-

ra roku. W rok po urodzeniu zacząłem dziecko wozić do Lwowa na klinikę. Wozilem sam dla mniejszych kosztów. Co wycierpiałem ja i ten biedny dzieciak, to tylko ja wiem i Bóg. Ale wszystko na daremnie, bez skutku, raczej z wynikiem ujemnym, bo dawano cztery razy dziecku na sen i od tego przytłumiono mu rozwój umysłowy i dziś jest z niego formalny idiota, umysłowo do niczego, a jak był kaleką, tak i został. Żona trochę się podleczyła, ale przez te półtora roku „znajomości“ z lekarzami i aptekami tak zniszczyłem się materialnie, że pozostała mi ziemia i budynki. Nadmiar złego popsuła mi się znowu robota społeczna, bo jak zaczynałem mówić ludziom o konieczności wiedzy, to mi odpowiadali często: „A dobrze ci chłopca wyleczyli“? Nie znajdowałem słów na odpowiedź, bo mieli rację. A czy była w tym naprawdę wina lekarzy? Trudno twierdzić — sądzę, że tak!

Od roku 1923 do r. 1926 bardzo mało pracowałem „na polu“ społecznym, bo musiałem reperować swój stan materialny i duchowy. Że przedtem nie przygotowałem sobie pomocników i następców, to znowu był mój duży błąd i nieumiejętność. W kole młodzieży ubyło 42 członków, wprawdzie całkiem naturalnie, bo dziewczęta wyszły za mąż na inne wioski, a chłopcy częściowo poszli na emigrację, częściowo do rzemiosła, a inni ożeniwszy się wycofali się zupełnie. Pozostało nas 11-tu i dopiero w drugiej połowie 1929 roku przyjęliśmy na członków podrosłą młodzież. Wznowiliśmy tempo pracy, zapisując się do konkursu przysposobienia rolniczego. W pierwszym roku pobiliśmy rekord w powiecie, otrzymując bardzo piękne nagrody w postaci maszyn rolniczych i pieniędzy. Konkursy przysposobienia rolniczego dały dowód namacalny, że można w każdej dziedzinie rolniczej mieć większe zyski, byle umiejętnie zabrać się do pracy. Konkursy przeprowadzaliśmy wśród młodzieży związkowej przez 8 lat z rzędu, przetwarzając tematy: trzy razy hodowla świń, 2 razy uprawa ziemniaków, trzy razy uprawa buraka pastewnego i 2 razy uprawa marchwi pastewnej. Wymienione działy zostały obecnie we wsi znacznie ulepszone i są stale uprawiane.

Od roku 1930 wysłaliśmy do szkół rolniczych pięciu chłopców i trzy dziewczyny, którzy ukończyli naukę z dobrym wynikiem, lecz we wsi swojej obecnie pracuje tylko dwie absolwentki i jeden absolwent, reszta pracuje na innym terenie. Obecnie praca w kole młodzieży stoi na dobrym poziomie, tak że inni nas stawiają za wzór.

W roku 1926 chciałem założyć cegielnię wspólną, dając swoją ziemię, lecz to nie znalazło zrozumienia wśród sąsiadów. Pobudowałem cegielnię sam, licząc na zyski. Prowadziłem to przedsiębiorstwo dwa lata, robiąc duże błędy handlowe, to też popadłem w deficyt, a mogłem mieć dobre zyski, gdybym miał elementarne pojęcie handlowe, bo cegła wychodziła dobra. Oddawałem cegłę na kredyt bardzo nieostrożnie, ot tak na gębę, a potem... wiadomo co... Między innymi jeden piec, około 15 tysięcy cegieł zakupił komitet L.O.P.P. i ten, robiąc za duży gest, mocno się zadłużył, to i mnie nie wypłacił w umówionym terminie, wypłacając po trochu przez 6 lat. Podarowałem na L.O.P.P. z należnej mi sumy 80 zł, bo chciałem też się przyczynić do obrony. Potem urząd skarbowy obłożył mnie niepomiernymi podatkami i musiałem skasować cegielnię, a myśl o budowie szkoły i domu ludowego z własnej cegły pozostała mrzonką.

W roku 1928 rodzice moi wydzielili mi 4 dziesięciny z ogólnego gospodarstwa i kazali na nowo się budować, dając mi połowę domu na rozbiórkę z tych budynków, które własnymi siłami wzniosłem po wojnie. Tu muszę nadmienić, że po wojnie pobudowałem nie tylko dom ale i dużą stodołę i oborę, biorąc na to z gospodarstwa ojcowego tylko 120 rubli, resztę kosztów ponosiłem z zarobków ubocznych, a będąc cieślą, którego to rzemiosła nauczyłem się podczas wojny, budowałem sam.

Zmuszony byłem na nowo zaczynać gospodarzyć, zabrałem się do budowy domu ponownie, budując go w jeszcze lepszym stylu, kryjąc blachą ocynkowaną i robiąc długi na 2.500 zł., bo musiałem w jednoroku wykończyć dom i oborę. Był to rok 1930, ostatni szczebel drabiny dobrej koniunktury rolniczej. Wprawdzie nie byłem lekkoduchem, bo miałem pokrycie, miałem 4 krowy, dwie maciory, 3 warchlaki i klacz z rocznym źrebakiem, mogłem sprzedawać i robić za gotówkę, lecz bałem się wyzywać, bo ceny wciąż rosły. Aż tu naraz w jesieni 1930 roku ceny zaczęły gwałtownie spadać. Myślałem, że to potrwa przez zimę, a na lato ceny się podniosą. Stało się inaczej. Można sobie wyobrazić: 4 dziesięciny ziemi, 6 osób rodziny i ogromne procenty...

Lecz nie upadłem, odmawiałem sobie najniezbędniejszych potrzeb, pracowałem jak w katordze... i do dziś spłaciłem 1.600 zł., a 900 skonwertowałem i już nie mam strachu, bo gospodarstwa nie opuści-

łem, a znacznie podniosłem. Życie moje jednak nie jest do pozazdrożczenia...

W roku 1930 założyłem kółko rolnicze, lecz z powodu mego ciężkiego stanu materialnego i do dziś nie rozwinęła się ta placówka, bo inni twierdzą, że w ogóle nie warto być rolnikiem, chcą chociaż z dnia na dzień przeżyć. Inni mają pretensję do rządu, że o nich, to znaczy o rolników, nie dba, a niektórzy mówią: „postęp wpędził Lutka w 2.500 zł długu, cudem on wyszedł z opresji i ruiny, to też postępu trzeba się wystrzegać“.

Obecnie założyliśmy związek rezerwistów. Na razie widoki rozwoju są dobre, a nadal nie wiem... może nie przeszkodzi „słomiany ogień“. Czytać książek i gazet ludzie i nadal nie chcą, ale obecnie pilnie patrzą, jak ja orzę, jak bronuję, jak i jakim ziarnem sieję, jak żywię bydło, jak urządziłem oborę, bo już utarło się przekonanie, że „Lutek dobrze w polu wszystko robi i ma duże zbiory“. „Lutek dobrze żywi i ma dobre bydło“. „Lutek dobrze leczy, lub radzi w chorobie, więc do niego trzeba się udawać po radę“.

W roku 1929 zostałem wybrany na członka rady gminnej i na członka sejmiku powiatowego. Pracowałem w tych samorządach przez 5 lat, lecz o tej pracy innym razem napiszę i na innym miejscu, bo samorząd wołyński ma taką ciekawą fizjonomię, że w krótkich słowach i bezkrytycznych nie da się ująć.

Życiorys mój piszę nie dla zdobycia nagrody, chociaż nie odmówię, jak na to zasłużyłem, ale piszę dlatego, żeby wyciągnąć na światło psychikę, obyczaje, energię, stopę życiową i siłę woli naszego wieśniaka, a ludzie uczeni, którym leży na sercu dobro wsi, ludu i państwa, może z tego będą mieli materiał do pracy.

M. K. dnia 11 stycznia 1936.



234608